

## BARBARA JURKIEWICZ-ZWONIARSKA

ur. 1945; Lublin



Miejsce i czas wydarzeń	Lublin, PRL
Słowa kluczowe	klub Nora ; przełom 1989/1990 ; Tomanek, Adam (1928-2017) ; NSZZ "Solidarność" ; Lublin ; ulica Wyszyńskiego 10 ; ulica Niecała 10 ; ulica Obrońców Pokoju 2 ; PRL ; dzieciństwo ; rodzina i dom rodzinny ; szkolnictwo ; studia ; studia polonistyczne ; UMCS ; Uniwersytet Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie ; Konfrontacje Teatralne ; Primus inter pares (czasopismo studenckie) ; Radio Akademickie UMCS ; Dom Studencki Amor ; karta mikrofonowa ; Radio Lublin ; redakcje Radia Lublin ; redakcja informacji ; redakcja rolna ; redakcja oświaty ; redakcja literacka ; reportaż ; lubelska szkoła reportażu ; cykle gawęd ; Festiwal Kapel i Śpiewaków Ludowych w Kazimierzu Dolnym ; Stowarzyszenie Dziennikarzy Polskich ; Z malowanej skrzyni (audycja) ; WOPP ; Wojewódzki Ośrodek Propagandy Politycznej ; stan wojenny ; stan wojenny (1981-1983) ; Marzec 1968 ; opozycja w PRL ; audycja Szpotańskiego ; Urząd Kontroli Prasy, Publikacji i Widowisk ; Solidarność (1980-1981) ; Bartmiński, Jerzy (1939- ) ; Biały, Wacław (1943-2004) ; Bieniaszkiewicz, Danuta (1928-2008) ; Danielak, Janusz (1931-1996) ; Derecki, Mirosław (1936-1998) ; Foryś, Lucjan ; Gorbaczowska, Janina (1902-1996) ; Grześkowiak, Kazimierz (1941-1999) ; Jurkiewicz, Adam (1910-2006) ; Jurkiewicz, Irena (1913-2010) ; Lassota, Teresa ; Kaczkowska, Anna (1949- ) ; Kononowicz, Zenon (1903-1971) ; Kotowicz, Krystyna (1931-2004) ; Machulska, Halina ; Machulski, Jan (1928-2008) ; Machulski, Juliusz (1955- ) ; Mikulski, Zygmunt (1920-1998) ; Piątkowski, Franciszek (1946-2016) ; Sawicka, Małgorzata ; Skalenajdo, Michał ( - 2008) ; Szpotański, Janusz (1929-2001) ; Weroniczak, Janusz (1933-1991) ; Winiarski, Janusz Andrzej (1933-2012)

Zacznę od tego, że urodziłam się w pierwszej połowie ubiegłego wieku. Parę lat temu to zabrzmiało dla mnie wstrząsająco, ale było prawidłowe i prawdziwe, chociaż brzmi tak, jakbyśmy czytali życiorysy naszych wieszczów.

### 1. Początek pracy w Radiu Lublin

Pamiętam to jak dziś, bo takie rzeczy zapadają w pamięci. Trzydziestego listopada 1967 roku byłam w radzie okręgowej ZSP, która się mieściła wtedy przy ulicy Narutowicza, na imieninach szefa, Andrzeja. I w tym momencie dostaję telefon od

mojej mamy – mieszkałam oczywiście z rodzicami i mama zawsze wiedziała, gdzie jestem, jaki mam plan. Mama mówi: „Był telefon z radia przy ulicy Obrońców Pokoju, masz jutro zgłosić się do pracy.” Ja mówię: „Słucham? Mamo, chyba coś ci się pomyliło?” – „Nie, masz tam się zgłosić rano o dziewiątej.” Więc rzeczywiście poszłam pierwszego grudnia na Obrońców Pokoju, sądząc, że to rozmowa wstępna. Przecież byłam jeszcze na piątym roku, praca magisterska dopiero zaczęta, nawet jednej trzeciej nie miałam wtedy napisanej, chociaż to już był grudzień. Przyjął mnie redaktor naczelny, Michał Skalenajdo. Powiedział, że sytuacja jest taka, że redakcja informacji – w tamtych czasach serce radia, jest bardzo osłabiona, bo jedna koleżanka wyszła za męża i wyjechała do Wrocławia, druga koleżanka jest w ciąży, lada moment rodzi, kolega jest chory i zostaje tylko redaktor, kierownik redakcji czyli Adam Tomanek. I ja mam go wspomóc. Kiedyś mijaliśmy się na korytarzu, ale przecież cóż, ja nie wiedziałam kto, co. Poznałam pana redaktora Tomanka, który powiedział mi tak: „Proszę Pani, ja w tej chwili jadę na nagranie. Tu jest telefon, tu jest książka telefoniczna. Wracam za parę godzin, proszę mi w tym czasie przygotować pięć informacji do dzisiejszego dziennika. Do widzenia.” Dla mnie był to taki szok, że wzięłam telefon i zadzwoniłam do mamy prawie z płaczem, co robić? Jestem oczywiście na okresie próbnym, ale już mam zadanie dziennikarskie. Przecież to jest poważne radio, poważny dziennik. Wtedy, o ile pamiętam, ten serwis, ten dziennik ukazywał się o piętnastej, a była jakaś godzina dziesiąta. Mama jakoś mnie pocieszyła przez telefon, odłożyłam słuchawkę i zastanowiłam się gdzie dzwonić, o co pytać. No, o co? O moje środowisko, czyli to, na czym się znam, na studenckich sprawach. Podzwoniłam, gdzie są, gdzie będą jakieś konferencje, a może jakieś były? Co się dzieje? Jakoś wysmażyłam te pięć informacji, z których może jedna poszła, przecież wiadomo, że nie wszystko od razu. Miałam obiekcje przy rozmowie z redaktorem naczelnym, mówię: „Jestem na piątym roku, muszę napisać i obronić pracę magisterską, więc czy ja sobie dam radę?” – „My w panią wierzymy, da sobie pani radę”. To było pierwszego grudnia. Oczywiście przychodziłam codziennie do pracy, coś tam pisałam, coś tam szło. Szóstego grudnia rano redaktor Tomanek pokazał mi magnetofon. Wtedy były wyjątkowo jeszcze lekkie, węgierskie magnetofony, tak zwane „węgry”, i mówi tak: „Tu się włącza do nagrania, tu jest nagranie, tu się zatrzymuje, tu się przewija do przodu, tu się przewija do tyłu. Dzisiaj jest szósty grudnia, idzie pani do przedszkola i przynosi mi pani materiał dźwiękowy do dziennika: co dzieci myślą o Mikołaju.” Chyba nie powiedział: „o świętym”. Wzięłam ten magnetofon pierwszy raz w życiu, a tak się telepałam, bo jak współpracowałam z redakcją młodzieżową, to nigdy nie miałam dostępu ani do mikrofonu, ani magnetofonu. Wzięłam ten magnetofon, poszłam do przedszkola. Dzieci były spokojne, wesołe i fajne, ja byłam stremowana jak gdybym nagrywała nie wiadomo, z kim. Materiały dźwiękowe w dzienniku mogły mieć najwyżej od dwóch do trzech minut. Ja nagrałam chyba sześćdziesiąt, wszystko jak leciało. Z tym nagraniem wróciłam do radia, ale jeszcze nie umiałam montować. A trzeba sobie

przypomnieć – przypomnieć albo powiedzieć, że w tamtych czasach taśma była celuloidowa, nie było nawet tak zwanych lepców, które przyszły wiele lat później, tylko był kwas w butelce z koreczkiem. Koreczek się wyjmowało, smarowało się taśmę tam, gdzie trzeba było przyciąć. Po przycięciu sklejało. Ta [sklejona] taśma była trochę wybrzuszona. Ja nie byłam w stanie z tych sześćdziesięciu minut wybrać tych dwóch na antenę. Redaktor Tomanek był zapracowany, załatany. Inny kolega zobaczył biedną, przerażoną, młodą dziewczynę i pokazał, pomógł mi. Potem, tu muszę się pochwalić, wiele lat później robiłam to błyskawicznie, może dlatego, że po szkole muzycznej miałam słuch dość dobry, więc wiedziałam, gdzie trzeba coś wyrzucić. A przemontować to później, to wyższa szkoła jazdy. I tak się zaczęła moja praca, po trzech miesiącach dostałam etat młodszego redaktora. W międzyczasie robiłam magisterium, przy czym musiałam się kryć przed panią profesor. Chodziłam tylko na seminaria, bo już nie miałam możliwości połączyć wykładów [z pracą], bo przecież tu radio, tu te studia. A miałam wielki kłopot, bo pani profesor Garbaczowska dziennikarzy radiowych nie znosiła szczególnie, w związku z czym poprosiłam, żeby nigdy moje nazwisko nie było na antenie. Nawet jak były moje materiały, to nie było powiedziane, że to Barbara Jurkiewicz tylko bez nazwiska. Staralam się, żeby mojego głosu też nie było na antenie, że to rozmówca jest ważny, a nie ja. Jak mi się to udało, że ona nie wiedziała, że ja już pracuję, to nie wiem. Zdałam egzamin magisterski w terminie w czerwcu, przy czym miałam jeszcze po drodze taką przygodę.

## **2. Została puszczone audycja Szpotańskiego**

To już był rok '8. Akurat na początku marca wzięłam dwa tygodnie urlopu na pisanie pracy. I zaraz był ósmy marca 1968 roku, który w Lublinie, jak wiadomo, zaczął się właśnie od Radia Akademickiego. Z tym, że ja już wtedy, niestety, radio musiałam pożegnać, bo nie mogłam wszystkich tych srok za ogon utrzymać. W związku z czym autentycznie w Radiu Akademickim już nie bywałam. A zaczął się w tym sensie od radia, że przez wszystkie te kukuruźniki, na wszystkie akademiki została puszczone audycja Szpotańskiego z Wolnej Europy. Słynne słuchowisko. Przecież to było jeszcze za Władysława Gomułki. Pisałam tę pracę, więc siedziałam w bibliotece i w domu, ale wiedziałam, że coś się dzieje. Wprawdzie byłam w bibliotece KUL-owskiej, bo ta miała większy dostęp do księgozbiorów, ale przecież to jest wszystko prawie przy miasteczku. W związku z czym, jak usłyszałam co się dzieje, to złapałam taksówkę i pojechałam w kierunku miasteczka. Oczywiście już nie bardzo można było przejechać, więc [jechał] jakoś tam boczkami, boczkami i tylko z taksówki widziałam tych manifestujących. I na tym się mój udział w tym marcowym buncie zakończył. W zasadzie nie brałam [w nim] udziału, ale to nie przeszkodziło, że po dwóch tygodniach, jak jeszcze chyba byłam na urlopie, dostaję wezwanie do Komendy Wojewódzkiej Milicji Obywatelskiej. A w międzyczasie dowiaduję się, że moi koledzy radiowi, czyli Janusz, Janek Nowacki, Jurek Janiszewski też byli tam już

przepytywani. Pamiętam moją pierwszą – tfu, tfu na psa urok – i chyba ostatnią wizytę na milicji. Spędziłam cały dzień, całą niedzielę, pamiętam to jak dzisiaj, w takim pokoiku mniejszym niż ten tutaj, gdzie panowie się bez przerwy zmieniali, bo mieli jakieś bardzo ważne sprawy. Nie wiedziałam, że to taka metoda. Boże, skąd! Kto to wiedział wtedy. Usiłowałam prosić ich żeby, żebym mogła zadzwonić do rodziców, ponieważ zawsze o drugiej przychodziłam na niedzielny obiad. Jakoś mnie łaskawie połączył, ale [cały czas] był przy mnie. Słyszałam: „Była pani na manifestacji.” – „Nie byłam.” – „Była pani.” – „Nie byłam.” – „No przecież mamy pani zdjęcie.” – „No to proszę mi pokazać to zdjęcie”. I tak to trwało do siódmej. W końcu puścili mnie do domu i na tym się mój pierwszy, i chyba już ostatni, kontakt ze Służbą Bezpieczeństwa skończył.

### 3. Praca w redakcji informacji

Pracowałam dalej w redakcji informacji mając czasem niezwykle śmieszne przygody. Śmieszne, ale tragiczne dla mnie, dla młodej dziennikarki. Między innymi toczyła się wtedy, jeszcze w '8 roku, sprawa przeciwko jakiemuś zbrodniarzowi z Majdanka. To było w Sądzie Okręgowym, redaktor naczelny polecił mi, żebym poszła na tę rozprawę i przysłuchała się, bo ona się odbywała przy drzwiach otwartych, porozmawiała, nagrała rozmowę z sędzią prowadzącym rozprawę sędzią – o co chodzi, jaki był akt oskarżenia, kto to był ten człowiek i tak dalej, i tak dalej. Ponieważ jestem z rodziny prawniczej, to wiedziałam, chociażby przez mojego ojca, że sąd to jest sąd, że trzeba odpowiednio zadziałać. W związku z czym najpierw poszłam do przewodniczącego wydziału. Przedstawiłam się, zapytałam, czy mogę wejść na salę i, czy potem w przerwie rozprawy mogę porozmawiać z sędzią prowadzącym. – „Tak, oczywiście”. Więc poszłam, wysłuchałam wszystkiego, [trwało to] bardzo długo. Rozpoczęła się przerwa, odczekałam, żeby sędzia mógł zdjąć te swoje łańcuchy, czy togę z siebie i cichuteńko zapukałam do tego sędziowskiego pokoju. Zdążyłam powiedzieć: „Dzień dobry, nazywam się...” i w tym momencie usłyszałam wrzask: „Proszę stąd wyjść!” Mówię: „Ja przepraszam...”, trzymałam magnetofon przy sobie z tym, że on był niewidoczny. – „Proszę mi stąd wyjść natychmiast, opuścić ten pokój, nie będę z panią rozmawiał!” Ja rzeczywiście wtedy na dziennikarza poważnej rozgłośni nie wyglądałam. Szczupłutka z długim włosiem, okularki, w związku z czym nie miałam żadnej przebojowości jeszcze wtedy. Powiedziałam: „Przepraszam”, zamknęłam drzwi, rozplakałam się i płacząc wróciłam do radia przez Krakowskie Przedmieście na Obrońców Pokoju. Płacząc weszłam do naczelnego mówiąc, że niestety zostałam wyrzucona. Na co on wziął telefon i zadzwonił tam z interwencją, a pan sędzia oczywiście tłumaczył się, że myślał że ja jestem kimś z rodziny i dlatego mnie wyrzucił. To była taka przygoda, którą do tej pory też pamiętam. Druga przygoda była już mniej sympatyczna, a bardziej groźna. Jako najmłodsza, bez rodziny, czyli bez obowiązków w niedziele i święta zawsze ja miałam zadanie nagrania czegoś. I kiedyś zostałam wysłana do Garwolina na odsłonięcie jakiego

pomnika czynu partyzanckiego. Cały czas to są jeszcze lata przed '0 rokiem, przed Gierkiem. Miał w tym brać udział słynny generał Grzegorz Korczyński związany ze Służbą Bezpieczeństwa, on miał właśnie odsłaniać pomnik. Materiał z tej uroczystości miał koniecznie być wieczorem w audycji „Z kraju i ze świata”. To była audycja w programie pierwszym Polskiego Radia, a my ważniejsze rzeczy kablowaliśmy właśnie do programu pierwszego. Stwierdzili, że będzie taniej, jak przyjedzie dziennikarz nie z Warszawy, tylko z Lublina, w związku z czym wysłano mnie. Ja na stopniach wojskowych, znałam się tyle, co i dzisiaj, czyli prawie w ogóle. Pytałam, jaki to jest generał, ten Korczyński, bo wiedziałam, że są trzy stopnie generalskie. Trzymałam ten mikrofon gdzieś koło niego, nagrywałam, ale potem musiałam zrobić wstęp, przedstawić i tak dalej. I przedstawiłam. Tyle tylko, że on był wtedy w stopniu generała brygady, czyli najniższym, a ja go mianowałam generałem broni, czyli najwyższym. Materiał nagrany przed wysłaniem do Warszawy, zresztą przed każdą audycją, zawsze odsłuchiwał jakiś szef tu, w Lublinie, po czym było to kablowane do Warszawy i w Warszawie też odsłuchiwał to nie tylko ten prowadzący „Z kraju i ze świata”, ale również jakiś szef. Wszyscy to przeoczyli. O dziewiątej wieczór, bo o dziewiątej szła audycja „Z kraju i ze świata” poszła w Polskę wiadomość, że Korczyński jest już nie generałem brygady, tylko broni. Zrobił się straszny szum, straszne zamieszanie, bo to sprawa polityczna, bo coś się dzieje. A czasy były takie, że prawie już się coś działo w kraju. Efekt był taki, że w Warszawie stracił pracę ktoś, kto odpowiadał za to wydanie magazynu „Z kraju i ze świata”, a ja dostałam po uszach. Pracy nie straciłam, a [nawet] miałam jedną radochę i jeden sukces – już nigdy mnie na takie imprezy nie wysyłano. Męczyłam się w tej redakcji informacji. W międzyczasie zmienił się naczelny, przyszedł nowy. Prosiłam, żeby mnie przenieść do redakcji literackiej – w końcu ja jestem polonista, że strasznie bym chciała być w redakcji reportażu. Nie zezwolono mi, niestety.

#### **4. Cenzurowanie materiału**

Jak wyglądało zatwierdzanie materiału w dzienniku, chociażby? Każda informacja musiała przejść przez cenzurę. Nie tylko cenzurę wewnętrzną, ale był urząd kontroli prasy, radia i widowisk [Urząd Kontroli Prasy, Publikacji i Widowisk], który to urząd kontroli mieścił się [w Lublinie] na ulicy Okopowej. W redakcji informacji, czy to po napisaniu wiadomości, czy przygotowaniu dziennika na antenę, każda audycja miała tak zwaną koszulkę, to znaczy taką okładkę gdzie było imię i nazwisko autora, tytuł audycji, dokładny czas [trwania]. W środku [znajdowały się] teksty, jeśli to były informacje, a jeśli to była audycja, reportaż czy jakiś inny magazyn, to streszczenie tej audycji. Najpierw szło do zatwierdzenia przez naczelnego lub wice. Potem, jeśli to była większa audycja dzwoniło się do urzędu kontroli prasy i opowiadało się [streszczenie] przez telefon, a jeśli to był tekst, to goniec zanosił go na Okopową. Nazwisk tych ludzi, tych cenzorów się nie znało, natomiast pamiętam do tej pory, jak wpisywało się na koszulkę z wierzchu „C2”, „C5”, że zatwierdził ten C2, czy C5.

Potem, po wielu latach zaprzyjaźniałam się z tymi ludźmi, bo byli bardzo sympatyczni, ale wtedy tak nie mogło być, bo wtedy nie było żywego radia, wszystko było absolutnie zatwierdzone, zaklepane, podpisane.

## 5. Z malowanej skrzyni

Po trzech latach wyblagałam zmianę i z redakcji informacji trafiłam do redakcji oświatowej, którą prowadziła Danusia Bieniaszkiewicz. Bardzo miła, kulturalna, odcytana niezwykle pani. Ale to ciągle było nie moje, jeszcze to nie to, jeszcze ciągle nie to, ciągle marzyłam o tej redakcji literackiej. Wcześniej tańczyłam w zespole tańca ludowego. Mało tego, na studiach mieliśmy obozy naukowe, wszystkie koła naukowe nie tylko z UMCS-u, ale i z Akademii Medycznej, WSR-u, czyli Wyższej Szkoły Rolniczej mieliśmy cały miesiąc takiego naukowego pobytu, między innymi w Zamościu. Mieszkaliśmy w koszarach wojskowych i nasza grupa, poloniści pod opieką naszego opiekuna roku, wtedy magistra Jerzego Bartmińskiego, obecnie profesora, jeździliśmy po wsiach i zbieraliśmy folklor zamojski. A jeździliśmy z magnetofonem, który się nazywał „Melodia”. To ważyło mniej więcej dwadzieścia kilo. Wsiadaliśmy w autobus razem z Jurkiem Bartmińskim, mówię per ty, bo wiele lat później bardzo żeśmy się zaprzyjaźnili, i [chodziliśmy] od chałupy do chałupy. Sitaniec, stary Zamość, kilka innych [miejscowości]. Pan Bartmiński wiedział gdzie, do kogo. Rozmawialiśmy i nagrywaliśmy te stare rzeczy. I to mi pozostało, w tym sensie, że [jeszcze] będąc w redakcji informacji ubłagałam, żeby powstała taka audycja, którą prowadziłam do końca mojej pracy w radiu. Nazywała się „Z malowanej skrzyni, czyli gadki, śpiewki i muzyki z ziemi lubelskiej zebrane”. I wtedy do tej audycji zawsze też był potrzebny, w cudzysłowie i z wielkim szacunkiem mówię „był [potrzebny] „, wtedy doktor, Jerzy Bartmiński. Jeździliśmy wtedy z Jurkiem i z bardzo dobrym z technikiem Mieczysławem Chanajem, z dobrą jakością nagrań, bo już nie z „Melodią”, tylko z „Nagrą” – to też magnetofon, po najdalszych wsiach całego starego województwa lubelskiego. I dzięki niemu radio do tej pory ma w archiwum unikalne rzeczy, jak na przykład magia ludowa. To tak, jakby prosić Cygankę, żeby zdradziła swoje tajemnice. Tak samo tam nie było łatwo, żeby te panie, bo to głównie panie opowiadały, otworzyły się przed nami. Ale dzięki właśnie Jurkowi Bartmińskiemu, który wiedział jak rozmawiać i, że ja troszkę liznęłam tego folkloru, chociażby przez pobyt w zespole tańca ludowego i szkołę muzyczną. Przywoziliśmy naprawdę bardzo ciekawe materiały, z których raz w miesiącu były półgodzinne audycje na antenie „Z malowanej skrzyni”. W związku z tym zawsze jeździłam na Festiwal Kapel i Śpiewaków Ludowych jako przedstawiciel radiowy, również do nagrań. To było szaleństwo, bo jeździliśmy Roburem, to była wtedy nowoczesność, studio na kółkach. [Trzeba] pamiętać, że cały czas mówimy o taśmach celuloidowych, o kasetach w magnetofonie, nie było komputerów, ale już był postęp. Już nie montowało się taśm przy pomocy kwasu tylko były lepczyki, zdobywało się chirurgiczny skalpel, cięto się te lepczyki, sklejało się i już nie było

żadnego stuku na antenie, ani nic. Cały czas jeszcze byłam w redakcji oświatowej, ale raz w roku byłam delegowana na festiwal. [Jeździliśmy] Roburem, nagrywaliśmy te wszystkie muzyczne rzeczy, wszystkie zespoły. Ja reporterskim magnetofonem nagrywałam rozmowy, gadki właśnie, opowieści, czy targi sztuki, które zawsze organizowało Stowarzyszenie Twórców Ludowych. Oprócz tego wychodziła gazetka festiwalowa „Burczybas” i w tej gazetce festiwalowej też ja tam coś tam miałam do napisania. Notabene to była świetna gazetka, bo tak z przymrużeniem oka prowadzona, ale nie należy zapominać że ten „Burczybas” też podlegał cenzurze. To nie było tak lekko. W Kazimierzu była cenzorka i każdy numer przed wysłaniem do drukarni WDK-u, bo WDK [Wojewódzki Dom Kultury] był przecież głównym organizatorem festiwalu, był akceptowany przez cenzora.

## 6. Zenon "Bosy" Kononowicz

Jednego dnia któraś z koleżanek mówi: „Widzisz tam na rynku siedzi taki człowiek w białej szacie. Boso, bez butów. Weź magnetofon i idź, nagraj”. Ja mówię – „A któż to jest?” – „No to jest Zenon Kononowicz”, czyli Bosy, słynny malarz. A jeszcze ktoś mówi: „Ale nie uda ci się, bo wszystkich gania, nikomu żadnego wywiadu nie udziela. Jest dziwak, jest uparty i nie ma mowy”. No i to mi trochę na ambity siadło. Przypomniałam sobie, że przecież pan Zenon Kononowicz przed wojną w latach trzydziestych uczył tutaj w szkole plastycznej u Pani Miłosiowej. Mój stryj, brat mego taty, kilkanaście lat starszy od pana Zenona Bosego, też w tej szkole uczył, ponieważ jeden i drugi kończył ASP w Krakowie. Z tym, że mój stryj wcześniej, ale potem w czasach lubelskich tu się spotkali i podobno się nawet lubili. No więc podeszłam z tym magnetofonem i zaczęłam od tego. Przedstawiłam się i od razu zaczęłam koneksje rodzinne wyciągać: „Czy pan pamięta, był taki Julian Jurkiewicz?” – „Ano pamiętam.” – „Ja jestem jego rodziną” i tak dalej, i tak dalej. Pan Kononowicz mówi: „No to ja pani coś opowiem. Co pani chce?” A on siedział rzeczywiście w tej takiej białej szacie, boso i miał jakieś sztalugi, czy karton, dokładnie nie pamiętam, coś malował pod Kamienicą Senatorską na Rynku. Więc zadałam mu pytania, bo on wtedy mieszkał w Kazimierzu, jak ocenia ten hałas, ten szum tu na Rynku, te festiwale, te różne kultury z różnych stron Polski. Wtedy jeszcze nie było zagranicznych zespołów tylko nasze od Tatr do morza. On mi odpowiedział, zakończyliśmy, podziękowałam. Szczęśliwa wracam z tym magnetofonem, z tym nagraniem do Robura, a on za chwilę do mnie przychodzi i mówi: „Proszę pani, mam do pani ogromną prośbę, proszę to nagranie skasować”. Ja pytam: „Ależ dlaczego?” – „Proszę skasować, bardzo panią o to proszę. Ja byłem nieprzygotowany. Ja pani obiecuję, że się stawię u pani w radiu w Lublinie. Proszę skasować. Obiecuję, że przyjdę”. A mieszkał i miał pracownię na Skłodowskiej, więc niedaleko Obrońców Pokoju. Bałam się, że to może być tylko pretekst, podstęp. Skasowałam. Przy przestraszaniu i oburzeniu moich kolegów, skasowałam. Ponieważ dałam słowo i postanowiłam go dotrzymać. Myślałam, że już nigdy nie będę miała tego nagrania z

nim. Festiwal zawsze trwał cztery dni: czwartek, piątek, sobota, niedziela. W poniedziałek strażnik dzwoni do mnie do redakcji, że ktoś na mnie czeka na dole, na holu. Wychodzę – pan Zenon Kononowicz. Złapałam magnetofon. On nie chciał wchodzić do studia. Sama wiedziałam, że wytłumione studio to nie będzie dobre miejsce, więc złapałam magnetofon, ten reporterski i poszliśmy do ogródka przed [budynkiem] radio. I jestem jedyną autorką jedyne wywiadu Zenona Kononowicza Bosego, który kilka miesięcy później od tego nagrania już nie żył. Uważam, że to jest mój największy sukces. To nagranie oczywiście jest w archiwum. Przy tym nawet zapomniałam o tych dla mnie męczących, strasznych historiach z redakcją informacji, przeróżnych przeżyciach od '0 roku. Potem, cały czas miałam nalegania, żeby się zapisać do partii, a ponieważ nikt w mojej rodzinie [do partii] nie należał, ja też miałam zupełnie inne pomysły na życie. W związku z czym byłam traktowana tak, jak byłam traktowana. Nie było to miłe. Bardzo często było to bardzo przykre, ale rekompensatą było to, że nagrywałam ludzi, trafiałam na bardzo prawdziwych, autentycznych ludzi. Już pomijam to, że nagrywałam sławnych, a już nieżyjących, jak chociażby Hasióra przy wystawie w BWA w Lublinie. A po tych latach – trzy lata [redakcja] informacji, trzy lata oświatowa – zmiana. Ja szczęśliwa, że [nareszcie] to będzie literacka, ale, nie – rolna. Myślałam, że się załamie.

#### **7. Szefem redakcji rolnej był wtedy Janusz Winiarski**

Szefem [redakcji] rolnej był wtedy Janusz Winiarski. Poza Januszem Winiarskim w redakcji rolnej pracował Wacek Biały i jeszcze Kazik Dymel. I dokooptowana zostałam ja – panienka z dobrego domu z pianinem, która autentycznie, nie w przenośni, wieś znała z wakacji. Od dziecka zawsze jeździliśmy na wakacje na wieś, tata mój pochodził z Krasicyzna pod Przemyślem i to tyle znałam wieś. I raptem ja trafiam do redakcji rolnej i mam robić tego typu audycje. Dla mnie to był absolutny szok. Do tej pory pamiętam, i nieraz to Januszowi Winiarskiemu wypominałam, że on był po wydziale rolnym, a ja po polonistyce. On mnie zaczął egzaminować, ile potrzeba na jeden hektar NPK, nawozu NPK. Ja w ogóle nie wiedziałam co to jest NPK! MPK to może tak, ale nie NPK, dopiero po wielu latach dowiedziałam się, że to jest azot, potas i fosfor. Ale skąd ja wtedy miałam coś takiego wiedzieć. Zrobił mi wykład straszliwy. Przeżyłam to, ale popamiętałam mu. Kazał mi się tego wszystkiego nauczyć, bo jak jestem w redakcji rolnej, to muszę się na tym znać. No i zaczęło się. Zaczęły się jazdy w tak zwany teren, po materiał do audycji rolnej. Wtedy już te sześć lat pracy za sobą miałam, już nie byłam taka smarkula zupełna, nieorientowana. Zawsze brałam samochód z zaprzyjaźnionym technikiem i kierowca ten sam zawsze z nami jeździł. Taka trójka. Wiedziałam, że oni mnie zawsze albo ochronią, albo pomogą, albo coś podpowiedzą. Z tym, że nie wzięłam pod uwagę, że moi koledzy też lubili robić psoty. Pamiętam, jedziemy gdzieś na nagranie. Oni tylko pytali, w którym kierunku, ja mówiłam, że tam, gdzie jakaś hodowla trzody chlewnej będzie albo jakieś buraki, albo jakieś gospodarstwo, bo jeszcze PGR-y wtedy były



przecież. I kiedyś tak jedziemy, a mój kolega Miecio, technik mówi: „O popatrz, Baśka tu się zatrzymamy, bo tu jest pełny, piękny rzepak. To ty bierz magnetofon i biegnij tutaj do tego chłopca, zapytaj, jak to on to zrobił. No, zrobisz materiał do magazynu”. Bo niektóre rzeczy poważniejsze to on nagrywał na „Nagrze”, a takie drobne to ja na tym reporterskim magnetofonie. No więc ja posłusznie biorę i wychodzę. I w ostatniej chwili oni mnie zatrzymali. Bo to nie był rzepak. To była ognicha, największy chwast w polu! I gdybym ja poszła, bo był tam chłop przed chałupą, do niego i zapytała, to może bym z życiem uszła, ale niekoniecznie. Takich miałam wesołych kolegów. No, ale powstrzymali mnie. Mimo wszystko miałam satysfakcję z pobytu w tej redakcji z tego względu, że tam zaczęłam robić reportaże społeczne. Bo jednak i szef, Janusz Winiarski doszedł do wniosku, że ze mnie rolnika prawdziwego nie będzie – [choć], jak się potem okazało, absolutnie się mylił, w związku z czym robiłam reportaże społeczne, nawet miałam wyróżnienie na konkursie ogólnopolskim.

### **8. W końcu trafiłam do redakcji literackiej**

W końcu przyszedł moment po kolejnych trzech latach, że zostałam przypisana do redakcji literackiej. I to już dla mnie było jakbym Pana Boga za nogi złapała. Szefem redakcji wtedy był Janusz Danielak. Wcześniej był jeszcze przecież Janusz Weroniczak, Jurek Księski, Zbyszek Stepek, Kazik Łojan, no cała plejada. A jeszcze wcześniej nasza lubelska poetka Marysia Ballod, która potem przeniósła się do Warszawy. Więc to już było moje [miejsce] docelowe i szczęście bez miary. Mówiłam o sławnych ludziach, udało mi się [zrealizować] nagranie z panią Anną Kamińską. I jeszcze wcześniej dostąpiłam zaszczytu poprowadzenia poranka z radiem na żywo. Bo to był rok '8, kiedy żywe radio nastąpiło. Wtedy już byłam w redakcji literackiej i mogłam prowadzić audycję na żywo, co było rewelacją. Oczywiście, jeszcze cenzura istniała, ale mówiło się im tylko ogólnie, że w tych porankach z radiem będzie to i to, i to. A jeszcze chyba raz w miesiącu były magazyny rozrywkowe, takie od strony literackiego życia kulturalnego. Pamiętam takie zdarzenie, do tej pory mam zdjęcie z autografem: „Miłej Pani Barbarze, która mnie tak porwała z planu filmowego”. A pisał to pan Ryszard Pietruski, jak tutaj w Bramie Krakowskiej na Starym Mieście były kręcone „Czarne Chmury”. No rzeczywiście porwałam go do studia. Straszny miałam wtedy żal, że Dowgird [Leonard Pietraszak] nie dał się porwać, ale był zajęty zdjęciami, więc tylko pan Pietruski, współautor scenariusza i reżyser pojechał do radia na taką rozmówkę. Z takich rzeczy sympatycznych to pamiętam, że udało mi się namówić Cyganekę, żeby przyszła do studia i powiedziała coś o wróżbach. To było prześmieszne, bo ona mnie zaczęła na Krakowskim Przedmieściu i raczej chciała, żebym dała sobie powróżyć. Ja jej mówię, że nie mam czasu, poza tym to ja wiem wszystko. – „Ale może jednak ja pani powiem wszystko.” – „Jak powie pani wszystko, to ja panią zapraszam do radia”. Konsternacja. Ale przyszła. Może dlatego, że zarobiła dużo, bo wszyscy koledzy, koleżanki już sobie dawali wróżyć. A ja ją przemyciłam do studia bez przepustki, bo jak Cyganekę o dowód pytać? Wszystko tak

się fajnie toczyło. Nagrywałam jeszcze w tej redakcji literackiej różne cykle gawęd. Między innymi były takie, już nie bardzo dobrze pamiętam nazwiska, nie wiem czy nie przekręczę, inżyniera Stanisława Zbyluta, trzeba by było sprawdzić w archiwum radiowym, który miał niezwykłą wiedzę na temat historii poczty, a potem telekomunikacji. Mówił tak barwnie, tak ciekawie. Był naprawdę znakomity. Nagrałam z nim cały cykl gawęd „Od chodu do kodu”. Gawędy były piętnastominutowe, podobno bardzo dobrze się tego słuchało. A już później, prawie tuż przed Solidarnością kilkadziesiąt, bo chyba dwadzieścia gawęd z Mirkiem Dereckim. „Corso czyli wędrówki do dawnego kina” to były ostatnie gawędy i niemal ostatnie moje [nagrania]. Był '0 rok, pracowałam do wybuchu stanu wojennego.

### **9. Solidarność w Radiu Lublin**

Nie dałam się zapisać do żadnej organizacji politycznej. Należałam do Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich, ale to było stowarzyszenie Stefana Bratkowskiego, a nie to obecne. Wcześniej do Zrzeszenia Studentów Polskich, ale nie do socjalistycznego. I to było wszystko. Oczywiście oprócz Solidarności, do której zapisało na początku się prawie dziewięćdziesiąt procent całego radia. Zostałam wybrana na sekretarza komisji zakładowej, bo zawsze miałam jakieś ciągoty, ciągle mnie nosiło. Ja w tym radiu w zasadzie byłam wszystkim, byłam i maszynistką. Zawsze były trzy maszynistki, ale kiedyś nastąpił taki kryzys, że jedna poszła rodzić, a dwie się rozchorowały. A radio, szczególnie informacyjne, dziennik nie może bez maszynopisu istnieć. Ponieważ ja jeszcze z domu rodzinnego wyniosłam umiejętność pisania na maszynie, bo tacie pomagałam czasem w przepisywaniu dokumentów, więc od razu zgłosiłam się jako ochotnik do pisania i to robiłam. Tu przypomniało mi się jeszcze jedno piękne zdarzenie jaki był stosunek czasem szefów do pracowników, nie tylko do mnie. Mianowicie radio zakupiło pierwszą, no ewenement, elektryczną maszynę do pisania. No leciuteńkie [urządzenie], duże bo duże, ale błyskawicznie się pisało. I ja tylko jedna, poza maszynistkami, miałam prawo jej używać, ponieważ umiałam pisać. I pamiętam, że właśnie nie było tych trzech dziewczyn, maszynistek. Ja mówię do dziennikarzy redakcji informacji, że będę im to pisać, tylko przyniosę maszynę do pokoju, bo hala maszyn była gdzie indziej, a redakcja gdzie indziej. Mówię: „Będziecie mi dyktować, bo to szybko do cenzury musi pójść.” I niosę tą maszynę, a chudzina ze mnie była jeszcze w tamtych czasach. A to było duże, ciężkie i miało wałek. I ja tym wałkiem zaczepiłam o framugę drzwi. Maszyna poleciała mi na nogi. Tylko co uskoczyłam, oczywiście zgrabna jeszcze byłam, zwinna, uskoczyłam. Gdyby ona mi spadła na stopy, to pewnie bym miała zmiążdżone. Huk straszliwy, a hala maszyn jest nad pokojem redaktora naczelnego Tłuczkiwicza. I ten huk słychać w całym radiu. Więc [naczelny] wysyła kogoś, żeby się dowiedział, co się dzieje. Ten ktoś mówi, że Baśce upadła maszyna, on nie zapytał co mi się stało tylko pyta: „W jakim stanie jest maszyna?” Jak zachorowała pani, która prowadziła bufet, to robiłam kolegom i koleżankom kawę i herbatki, jak nie

było sprzątaczką to potrafiłam i posprzątać, bo jakiś gość miał przyjść. Tak, że wszystkie funkcje w tym radiu pełniłam. I stąd, a też może [dlatego], że byłam organizatorką dobrą – w tak zwanym międzyczasie zorganizowałam ogólnopolskie seminarium reportażu w Kazimierzu – zrobiono mnie sekretarzem komisji zakładowej. Ale [jak to się zaczęło?] Ja już tego naprawdę nie pamiętam. To nikt nas, to był impuls ze Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich z Warszawy, z tego co pamiętam. Tak. To był impuls. Ale przypominałam sobie co innego jeszcze. W '0 roku, jak był grudzień '0 roku, byłam akurat w Warszawie na takim szkoleniu, doskonaleniu zawodowym dziennikarskim. Bo przecież ja nie kończyłam żadnego wydziału dziennikarskiego, tylko polonistykę. Aczkolwiek uważam, że jeśli ktoś ma jakiś nerw dziennikarski, to niekonieczne są dyplomy ze studiów. Albo się to ma, albo się nie ma. Albo się czuje, albo się nie czuje. Tam byli ludzie z całej Polski, radiowcy. W domu nauczyciela nas zakwaterowano mieszkałam w jednym pokoju z taką koleżanką bliską, która potem, wiele lat później była naczelną radia Gdańsk. Szkolenie było dwuletnie, raz w miesiącu mieliśmy taki wyjazd na tydzień do Warszawy, a mieliśmy bardzo różne zajęcia, między innymi z Maziarskim, tylko starszym, nie tym, który obecnie pisze w Gazecie Wyborczej. I ten tydzień [szkolenia] wypadł akurat wtedy, jak zaczęły się wypadki w Gdańsku. Ta moja koleżanka, przyjaciółka, która ze mną w pokoju mieszkała, szalała z niepokoju, bo oczywiście nie miała żadnego kontaktu, a zostawiła tam w Gdańsku męża i dziecko. Też pracowała w radiu i nie wiedziała co się dzieje, więc to był dramatyczny okres. Aczkolwiek my dzięki tym niektórym naszym wykładowcom, takim jak Maziarski i dzięki temu, że byliśmy niby tą elitą szkolenia, mieliśmy podgląd, a raczej podsłuch tego, co się naprawdę w Gdańsku działo. Ale kto tu dał sygnał z Solidarnością właściwie nie wiem,. Wiem, że od razu wszyscy stwierdzili, że tylko Janusz Winiarski będzie szefem, że Wacek, Hania, Małgosia wejdą do zarządu i ja do takiej jakby organizacji bardziej, jako sekretarz. Opisuje to też Staszek Fornal w książce „Anteny nad Bystrzycą” jak biegałam do niego po akceptację, jak się wysyłało fakсы do Warszawy, do Solidarności. Ale jak to się stało, kto pierwszy rzucił hasło? Prawdopodobnie Janusz Winiarski, tak myślę, prawie jestem pewna. On był mężem Dany – wtedy Winiarskiej, później Kuroniowej. Więc tak przypuszczam. Ona z kolei już działała w tych grupach oporu warszawskich, bo mieszkała z dziećmi w Warszawie, nie tu w Lublinie. Tak, że myślę, że to tu był impuls, właśnie z tej strony. [Atmosfera] była wspaniała. Wspaniała. Z tym, że nie wszyscy się zapisali do Solidarności. A nawet ci którzy się zapisali to potem było różnie. Zresztą widać było po tym, kto został przywrócony do pracy szybko, a kto nie. Nie jestem zwolenniczką teorii spiskowej, ale musiało być różnie. Nie chcę o tym nawet myśleć. Ja wiem, że później, jak mnie przywrócono do pracy to kilku kolegów przychodziło i mówiło – „Ja cię broniłem, ja za tobą głosowałem”. Bo przecież odbywały się jeszcze jakieś rozprawy, komisje, weryfikacje. Mnie na tę weryfikację nie zaproszono. To, że mnie przywracają, to poza mną się odbywało. Nie wnioskuję, nie chcę o tym wiedzieć. Kilku z nich nie ma też na

tym padole ziemskim, więc niech sobie spokojnie odpoczywają. Po stanie wojennym to już nie była ta atmosfera, to już w ogóle nie było to radio. Ale w tej chwili jest mi bardzo miło przychodzić dwa razy do roku na różne spotkania, świąteczne, choć z mojego otoczenia coraz mniej nas jest.

## 10. Stan wojenny

Szóstego grudnia mieliśmy zjazd w Warszawie w Stowarzyszeniu Dziennikarzy, w którym byłam [członkiem] komisji etycznej, czy prawnej – coś takiego, już dobrze nie pamiętam. W związku z czym moje imieniny, które zawsze odbywały się hucznie, no bo byłam wolnego stanu i miałam mieszkanie w samym centrum, zostały przełożone na dwunastego grudnia. Bo szóstego grudnia była Warszawa i trzydniowy zjazd na Foksal. I te moje imieniny były bardzo huczne i długie, chyba do drugiej, czy do trzeciej nad ranem. Towarzystwo się rozeszło i nikt z nas nic nie wiedział. Ja chcę rano do mamy dzwonić – telefon głuchy. Telewizor włączony, widzę przemówienie. Miałam w domu bardzo dużo dokumentów solidarnościowych z radia, złapałam to, złapałam szczoteczkę do zębów i płacząc uciekłam z domu do rodziców, niedaleko mieszkali. Nie wiedziałam co robić dalej. W poniedziałek poszłam do radia oczywiście, nie bardzo mogłam wejść, rzeczywiście pod karabinem zostałam wprowadzona do mojej redakcji na drugim piętrze, gdzie miałam też dokumenty solidarnościowe. Powiedziałam, że tylko muszę zabrać swoje osobiste rzeczy, które miałam w biurku. Pilnował mnie jeden z kolegów radiowych i ten uzbrojony żołnierz. Ale udało mi się, mimo wszystko, zwinąć jakieś dokumenty poza tymi moimi prywatnymi i pieczętkę zakładową. Bo wiedziałam, że już co jak co, ale pieczętki Solidarności nie mogą trafić w ich ręce. I z tym wróciłam do domu. Nie wyrzucono mnie od razu. Janusza Winiarskiego i Wacka Białego, jak wiadomo, zatrzymano na rogatkach Lublina jak wieźli taksówką ulotki do Świdnika, do WSK. Potem Hanię Kaczkowską i Małgosię Sawicką razem wyrzucono z radia, a mnie tak trzymano, już nie pamiętam ile miesięcy – dwa, czy trzy. Bo wszyscy, cała ta nasza piątka stanowiła komisję zakładową Solidarności, więc głównie to nas od razu się pozbyto, z tym, że mnie tak [dłużej] trzymano. Ponieważ nie zostałam zwolniona, więc jeszcze miałam pobory i pamiętam jak, że przychodziłam po pensję ostatniego dnia miesiąca, to też pod karabinem mnie wprowadzono do kasy i wyprowadzono. No, ale w końcu po paru miesiącach ja też dostałam wypowiedzenie. Wypowiedzenie, wyrzucenie, bo to była jednostka zmilitaryzowana. Postanowiłam się odwoływać, koledzy też. Wacek i Janusz nie, bo byli przecież zatrzymani, ale Janusz ponieważ był poważnie chory, miał zaświadczenie przy sobie o swojej chorobie, został wypuszczony potem nawet na leczenie. W każdym razie postanowiłam napisać odwołanie do prezesa radiokomiteu. No i byłam bardzo zdumiona, ale na tę czystkę, jaką wtedy zrobiono w stanie wojennym w radiokomitecie, czyli w radiu i w telewizji przywrócono pięć osób w całym kraju i w tej piątce byłam ja. Więc sądziłam, że natychmiast będę mogła powrócić do radia i coś tam robić, bo już trochę zelżały te [represje], to już była

wiosna. Ale, nie. Naczelnny redaktor mnie nie widział. Ja mam przywrócenie do pracy, jestem przywrócona do pracy, ale nikt mnie w tej pracy nie oczekuje. W związku z tym tata podpowiedział mi, żeby złożyć na piśmie tak zwaną gotowość do pracy. Co też uczyniłam. Jak złożyłam gotowość do pracy, to już mogłam przyjść. Przyszłam, tyle tylko, że nie dostawałam żadnych audycji. Jak wiadomo, pensje w radiu w tamtych czasach były bardzo niskie, natomiast zarabiano się na wierszówce za audycje. A ja tych audycji nie dostawałam. Wybroniłam tylko, wymęczyłam, wyprosiłam, że pojechałam tradycyjnie na festiwal kapel do Kazimierza. I tak to trwało prawie cały rok. Potem troszkę dostawałam tych audycji, ale ciągle czułam, że jestem intruzem. Z jednej strony może też i byłam taką osobą dla tych, którzy nie zostali przywróceniu do pracy, bo wszyscy się odwoływali, a tylko ja zostałam przyjęta z powrotem. Nie wiem. Ale byłam w redakcji literackiej, od czasu do czasu mogłam zrobić jakieś tam audycje. I tak się złożyło, że poznałam mojego męża, który był inżynierem ogrodnikiem spod Warszawy, pobraliśmy się i wtedy był problem. On nie widział się tu, w Lublinie, tam miał gospodarstwo. Z kolei radio już nie było tym radiem, które pamiętałam, które kochałam, w którym byli wszyscy moi przyjaciele. To było obce radio. Był '3 rok, więc jeszcze żadnych zmian nie było i na żadne się nie zanosilo jeszcze. W związku z czym po tym prawie całym roku od przywrócenia do pracy złożyłam wypowiedzenie i we wrześniu '3 roku rozstałam się z radiem, które było moją miłością. Przecież naprawdę tyle, ile myśmy mieli, my radio, nagród za reportaże i Hani Kaczkowskiej, i Małgosi Sawickiej, a jeszcze wcześniej Weroniczak i Danielak to przecież Oskar radiowy! Tak, że to dawne radio rzeczywiście było moją pasją, moją miłością.

## **11. Wspomnienia ze studiów**

W liceum miałam już absolutnie sprecyzowany pogląd, co będę robić, co będę studiować – filologię polską. Ja jedna z tych dwóch klas poszłam na filologię polską na UMCS. Tam naszym guru była pani profesor Janina Garbaczowska blisko zaprzyjaźniona ze słynnym profesorem Kleinerem z UJ z Krakowa, która wciągnęła mnie do Koła Naukowego Polonistów. W tymże Kole Naukowym Polonistów dostałam od pani profesor zadanie, żeby przyjrzeć się, co się robi w Radiu Akademickim, które mieściło się wtedy w bloku A, męskim bloku Amor na parterze. Pani profesor w ogóle nie miała wielkiego zdania na temat dziennikarzy radiowych. Uważała, że mówią bardzo źle, bardzo brzydko, niestylistycznie i niegramatycznie. Miała [do nich] ogromny dystans i kazała mnie, jako wiceprzewodniczącej Koła Naukowego Polonistów, zająć się tym i wprowadzić bardziej odpowiednie audycje. To był mój pierwszy kontakt z radiem, radiem studenckim, z mikrofonem. Wtedy ono nazywało się nie Radio Centrum, jak teraz, tylko Radio Akademickie UMCS. I przez cały okres studiów ja w tym radiu robiłam, w cudzysłowie, audycje literackie. Aczkolwiek mieliśmy i słuchowiska, i bardzo [dużym] wzięciem cieszyły się nasze szopki noworoczne. Nie było wtedy żadnej cenzury, to były czasy rektora Leopolda Seidlera,

którego ja wspominam akurat bardzo sympatycznie. Mieliśmy absolutną wolność. Przez Radio Akademickie trafiłam do poważnego Radia Lublin, do redakcji młodzieżowej, którą prowadziła wtedy Krystyna Kotowicz, gdzie przynosiłam felietoniki, komentarze z życia studenckiego. A ponieważ byłam osobą niemogącą w jednym miejscu wysiedzieć i jedną tylko rzeczą się zajmować, więc w tak zwanym międzyczasie poza Kołem Naukowym Polonistów tańczyłam w zespole tańca ludowego prowadzonym przez pana Stanisława Leszczyńskiego i byłam członkiem redakcji „Konfrontacji”. To był taki studencki dodatek przy „Kurierze Lubelskim”, którego szefem był pan Lesław Gnot. Zostałam korespondentem na Lublin, na środowisko studenckie [czasopisma] „itd”. „itd” to był z kolei tygodnik wydawany przez Zrzeszenie Studentów Polskich. Zrzeszenie Studentów, nie socjalistyczne, tylko Zrzeszenie Studentów Polskich. Tego pisma już teraz nie ma. Byłam tam korespondentem i tu się muszę nieskromnie pochwalić, że ode mnie zaczęła się i dość długo się ukazywała, taka rubryka „Primus inter pares”. To znaczy pierwszy wśród równych. Przyjechał kolega – wtedy dla mnie jeszcze nie kolega, ale dziennikarz z Warszawy. A zaczęło się od tego, że ja właśnie dostałam od nich nagrodę za korespondencję. I w notatce na ten temat było napisane, że przyznano nagrodę za to, za to i za to B. Jurkiewiczowi. No więc wzięłam za długopis, komputerów jeszcze wtedy nie było, i napisałam sprostowanie w tonie takim lekko żartobliwym, że ja wszystko rozumiem, no ale nie może być dyskryminacji kobiet. Ja wiem, że wszyscy inni nagrodzeni to są panowie, ale ja nie jestem ten B. Jurkiewicz tylko ta B. Jurkiewicz – Barbara Jurkiewicz. Stąd się zaczęło i to był początek rubryki „Primus inter pares” w „itd”. Współpracowałam z „itd”, ale przecież i studiowałam. Cały czas współpracowałam też z redakcją młodzieżową Polskiego Radia. Z tym, że nie miałam dostępu do mikrofonu, bo w tamtych czasach trzeba było mieć najpierw kartę mikrofonową żeby zasiąść w profesjonalnym studiu, w profesjonalnym radiu przed mikrofonem. Wszystko mnie tak frapowało, ale w pewnym momencie musiałam z czego zrezygnować. Zrezygnowałam z zespołu tańca ludowego. Na pierwszym roku nas była setka. Pamiętam, egzamin wstępny odbywał się na Placu Litewskim, w tym gmachu, gdzie teraz jest psychologia, w tej dużej, ładnej sali, auli. Egzamin z języka rosyjskiego odbywał się tu gdzie w tej chwili jest na Krakowskim Przedmieściu ośrodek szkolenia sędziów [Krajowa szkoła Sądownictwa i Prokuratury], a wtedy był Wojewódzki Ośrodek Propagandy Partyjnej, WOPP to się nazywało. Tu zdawałyśmy egzamin z rosyjskiego i chyba z historii, i tu były zajęcia na początku. Zaczęłam studiować w sześćdziesiątym trzecim roku, więc dopiero został oddany do użytku nowy gmach humanistyki, który jest w tej chwili najbiedniejszym, najskromniejszym, ale wtedy to było no szaleństwo. Absolutne szaleństwo. Aule, duże przestrzenie, które w tej chwili wcale nie są duże, dla nas były ogromne. Było nas sto osób na tym pierwszym roku i pamiętam z tych pierwszych spotkań, że w ogóle na roku nikt się z nikim nie znał. A trzeba było wybrać starostę roku. Na tym naszym roku były głównie dziewczyny, bo na polonistykę [szły] głównie dziewczyny, może z dziesięciu

chłopców było. I kogo tu wybrać, jak nikt nikogo nie zna. Ale patrzymy na listę, jest nazwisko: Ważny. No to, jak jest taki ważny to niech będzie Ważny. No i wybrałyśmy na starostę Rysia Ważnego. Nie bardzo mu to szło, ale jakoś, jakoś się dało żyć. Ja miałam trochę laby na tym pierwszy roku, dlatego, że na łacinę, na lektoraty nie musiałam chodzić, bo na maturalnym świadectwie miałam łacinę zdaną na piątkę. Na angielski chodziłam, bo chciałam troszkę tam coś podsłuchać, ale angielskiego uczyłyśmy się z moją starszą siostrą w domu. Uczyła nas studentka anglistyki, więc trochę już liznęłam i na tym angielskim z drugą koleżanką, która też tak znała angielski w miarę dobrze jak ja, grałyśmy w okręty. Potem miałyśmy wykłady z historii razem z wydziałem prawa, przynajmniej na pierwszym roku. Franek Piątkowski, który właśnie niedawno odszedł, to mój kolega z tych wykładów. I w zasadzie było strasznie dużo czasu na tych studiach. Oczywiście najgorsze były egzamin i ćwiczenia z języka starocerkiewnoślowskiego. To była makabra. Absolutna makabra. A dla mnie jeszcze najgorszy był egzamin z logiki. Wydawało mi się, że jestem logiczna. Tylko, że inaczej, jak jest człowiek logiczny, a inaczej jak musi znowu wykuć na pamięć te wszystkie wzory. Tak, jak mi nie wychodziła matematyka, bo trzeba było wykuć wzory, tak mi nie wchodziła logika z tymi wzorami. I tu miałam przypadek jeden który też opowiadam wszystkim, anegdotyczny ale prawdziwy. [Z logiki] egzaminował profesor Narcyz [Łubnicki] słynny filozof, ale i słynny postrach wszystkich oraz jego dwóch asystentów. I był taki asystent, o którym fama chodziła, że bardzo jest czuły na wdzięki kobiece, że nie oblewa żadnej dziewczyny. Ja miałam za sobą pierwszy egzamin – najtrudniejszy, bo to pierwsza sesja na pierwszym roku, u profesor Garbaczowskiej, która też oblewała ogromnie, a ja zdałam na piątkę, więc już miałam w indeksie napisane: pięć. No i poszłam na giełdę zobaczyć, którego dnia mam zdawać i u kogo. To był czerwiec, gorąco, a ja byłam w takiej sukieneczce na ramiączkach. No i stoję na tym korytarzu, żeby spytać się [o termin egzaminu]. Wychodzi ten asystent, pyta: „Pani na egzamin?” – Bo okazało się, że u niego mam zdawać. Ja mówię, że tak, ale to nie dzisiaj, bo ja nie mam stroju, jestem tak letnio bardzo, plażowo ubrana. Nie mam też indeksu ze sobą. On mówi: „A, nie szkodzi, indeks nie ważny, byleby pani nie była w stroju kąpielowym. Proszę, od razu pani sobie załatwi egzamin.” Ja przerażona, bo w ogóle nie byłam jeszcze nastawiona psychicznie na to. Mówię do dziewczyn, że nie pójdę. – „Idź Baśka, on nigdy żadnej dziewczyny nie oblał. No idź, zdawaj.” Weszłam do tej sali. Pamiętam do dziś pierwsze pytanie, czyli jedno z kilku, na które nie odpowiedziałam, ale to zapamiętałam dokładnie: „Pani Barbaro, na pewno będzie pani znała wzór na »Barbara, Celarent...«” Pani Barbara nie wiedziała o co chodzi. Pani Barbara nic nie wiedziała. Jakieś drugie pytanie, trzecie pytanie. Bierze kartę egzaminacyjną, bo nie miałam indeksu i wpisuje mi: dwa. Spotkamy się po wakacjach. A ja w płacz. I to nie był wyreżyserowany płacz, ja się autentycznie przestraszyłam, rozplakałam. A przestraszyłam się rodziców. Bo nigdy nic nie oblałam. Więc po prostu szlocham, siedzę przed nim przy tym biurku i płaczę. Straszliwie płaczę. Bo ja nie wrócę do

domu. Bo rodzice mnie wyrzucają z domu za obłany egzamin. A jest to drugi egzamin w ogóle na studiach. I chlapię, i chlapię strasznie: „Co ja mam zrobić? Niech mi pan jeszcze nie wpisuje.” Ale on już wpisał [ocenę] na kartę. Bierze tę kartę, patrzy na poprzedni stopień, właśnie pani profesor Garbaczowskiej, z literatury. O której wiedział, że też jest taka oblewająca [na egzaminach]. Mówi: „Ma pani piątkę, no to rzeczywiście. Niech pani tutaj posiedzi, ja pójdę zapytać profesora czy po przepytaniu swojej puli studentów zechce panią jeszcze raz egzaminować. Jeśli tak, to skoro w indeksie nie ma pani stopnia, może moja dwójka będzie nieaktualna.” I tak się stało. Zdałam u pana profesora na tróję, ale w indeksie nie ma dwóji, tylko trójka. A ponieważ tak odbierałam ten dyplom razem z tym nagraniem, z tym magnetofonem, z materiałem do radia, to jakoś tak zachachmęciłam, że indeks do tej pory mam w domu. Jest to pamiątka, jest to przypomnienie nazwisk profesorów, których w większości już nie ma wśród nas.

## **12. Bardzo trudne czasy – okres przełomu '9**

Przez kolejnych osiemnaście lat byłam żoną ogrodnika i byłam ogrodniczką. Stałam się rolnikiem i w tamtej chwili naprawdę mogłabym powiedzieć, co to jest NPK, jak się robi rozsady pomidorów, jak się uprawia róże, jakie są odmiany róż. W każdym razie tak, jak, powiedzmy, Wacek Biały po stanie wojennym, jak już go wypuszczono, był zatrudniony jako, w cudzysłowie, cieć, czyli stróż nocny, tak ja na ulicach Warszawy, a potem Lublina, bo wróciliśmy do Lublina, sprzedawałam tulipany, czy pomidory. I uważałam, że to nie jest nic hańbiącego, choć dużo ludzi mi się kłaniało, mówiło: „Dzień dobry pani redaktor”. Ja już takiego tytułu nie nosiłam. I przyszedł '9 rok, kiedy Polska stała się Polską, staliśmy się demokratycznym państwem, tak nam się wydawało wtedy. Janusz Winiarski został prezesem radia, naczelnym redaktorem radia i zaczął kompletować zespół. Oczywiście ściągnął wszystkich tych starych [radiowców]. Tak samo zadzwonił do mnie. Lubili się z moim mężem, bo mąż po SGGW, Janusz po WSR, więc mieli wspólne tematy, Janusz – Winiarski, bo mój mąż też Janusz, był zawsze przecież pasjonatem dobrego ogrodu, kwiatów, to była jego pasja. Mój mąż też taki pasjonat, miał ileś tam złotych medali za róże na ogólnopolskich konkursach. W każdym razie Janusz Winiarski zadzwonił do mnie, żebym przyszła do pracy. I ja, z bólem serca, ale musiałam mu odmówić, ponieważ nie mogłam zostawić mojego męża samego tutaj. Był obcy w tym środowisku, bo całe życie spędził w Warszawie. Tam kończył studia, tam miał mieszkanie, gospodarstwo pod Warszawą. Tu przyjechał za mną, można powiedzieć, od początku budowaliśmy tu gospodarstwo na Sławinie. To były czasy bardzo ciężkie, pamiętam mieliśmy wtedy samochód, który musieliśmy natychmiast sprzedać, żeby spłacić kredyt w banku, bo Balcerowicz nam robił reformę i wiadomo było, że jak zostaniemy z tym kredytem to się już nie podźwigniemy. W każdym razie musiałam Januszowi odmówić, bo wiedziałam, że posypie się gospodarstwo, a w zasadzie to posypie się moje małżeństwo. W pewnym momencie trzeba coś wybrać, na coś postawić. Co nie



przeszkadzało, że zawsze się bardzo blisko [przyjaźniliśmy] i z Wackiem Białym, który potem przeszedł do Gazety Wyborczej i z Januszem Winiarskim. Do końca, nawet dwa dni przed Janusza Winiarskiego odejściem byliśmy u niego w szpitalu. W każdym razie sentyment, więzy jakieś pozostały z tym radiem. Łzy w oczach. W każdym razie ciągnęliśmy to gospodarstwo z trudem wielkim, bo to już nie były czasy takie peerelowskie, jak to mąż mi opowiadał, że mógł samochody wymieniać, bo on jeden miał szkółkę róż na eksport do Holandii i na tym się robiło ogromne pieniądze, bo w dewizach było [płacone]. Oczywiście nie on dostawał dewizy, ale go tam hołubiono w tamtych czasach. A potem przyszły ciężkie czasy dla rolnictwa, dla ogrodnictwa. Było nam tak trudno. I właśnie wtedy Janusz Winiarski – te stare przyjaźnie jednak przetrwały najgorsze, a jeszcze w takich dramatycznych sytuacjach, to one trwają do końca życia – zaproponował, że mnie zatrudni. Żeby przyszła na jakiś czas do radia opracować archiwum, to moje całe folklorystyczne, ale nie tylko. Trzeba było to wszystko opisać, przesłuchać, to było wszystko na taśmach celuloidowych. Całe radio już było skomputeryzowane, mało kto umiał, a do tej pory to już chyba nikt nie potrafi zmontować takiej starej taśmy ani jej przesłuchać. A ponieważ to było na tego typu taśmach, to właśnie byłam potrzebna. Popracowałam tam trochę, potem jakoś tak się złożyło, że trzeba było troszkę dla redakcji rolnej ponagrywać, a ja już byłam rolnik pełną gębą, więc zupełnie odpowiedzialnie i bez tremy zrobiłam parę takich magazynów rolnych i stamtąd poszłam na emeryturę. Ale ta emerytura z tą moją przerwą i z tym wszystkim, wyniosła na początek – to był dwutysięczny rok – pięćset złotych. To nie było szaleństwo raczej. Mąż podupadł na zdrowiu, bo całe życie pracował ciężko. Mało kiedy mogliśmy kogoś zatrudnić. Raz, że nie było, kogo. Dwa, że czasem nas nie było stać, żeby zapłacić. W związku z czym jeszcze raz zmieniałam branżę, mianowicie poszłam pracować do ośrodka badań klinicznych, jako ktoś w rodzaju takiej sekretarki, organizatora, bo to mi dobrze wychodziło. Popracowałam tam kolejne siedem lat, a teraz jestem na emeryturze. Koniec mojej przygody z radiem.

### **13. Przygoda z telewizją**

Jeszcze miałam przygodę z telewizją. Wtedy przecież [w Lublinie] nie było telewizji ani redakcji telewizyjnej. Był tylko Marek Tarka jako operator i Adam Tomanek jako redaktor oni robili ten jakby załazek telewizji w radiu Lublin. Po czym właśnie umyślono, szef naczelny sobie wtedy, wymyślił, że jednak będzie redakcja telewizyjna. Więc zaangażował [ludzi] i chyba nawet powstała redakcja. Z tym, że tak formalnie nie było tam kierownika. No, ale trzeba było pojechać na szkolenie do Warszawy. To były lata siedemdziesiąte. Pamiętam, że było paru panów, do tej pory chyba jeszcze Maciek Prażmo pracuje w telewizji, chociaż nie dam głowy, miałam paru panów, a ja zostałam kimś w rodzaju inspektora, w przyszłości szefową tej grupy telewizyjnej. I cała nasza piątka pojechała do Warszawy na szkolenie na Woronicza. Wtedy rządził Krwawy Maciuś, czyli Maciej Szczepański. Przeżyłam to

strasznie, ponieważ ten miesiąc czy dwa, ja już nie pamiętam, ile ja tam siedziałam, to było tylko wyrzucenie pieniędzy. Nikt się mną nie zainteresował, nikt mnie nigdzie nie podszkolił. Ja nie wiedziałam, że powinnam się sama wpraszać, sama przebojem się rozpychać i się dopominać. Ja nie umiałam, to nie było w moim charakterze. Organizatorką byłam dobrą, ale nie dla siebie. Nie w takiej sytuacji. Panowie też się mieli tam szkolić i wiem, że to też było takie pseudo szkolenie, tak jak i moje pseudo szkolenie, wyrzucone pieniądze. Więc przeżyłam to okropnie, nie mogłam tego zrozumieć. Wróciłam do Lublina po tym pseudo szkoleniu i na tym się moja przygoda z telewizją, na szczęście, zakończyła. Jednak radio to jest lepsze medium.

#### **14. Karta mikrofonowa**

Nikt nie był dopuszczony do zabrania głosu w studio, przed mikrofonem [bez karty mikrofonowej]. Co innego, jeśli to było nagranie reporterskie. Ale żeby reportaż był dobry, to - tego, który nagrywa, w ogóle nie powinno być. Ważni są ludzie, ci którzy mówią. To mi zostało do tej pory w pamięci, W związku z tym [na reportaż] mógł sobie pozwolić nawet ktoś, kto miał złą wymowę, jak na przykład Janusz Danielak, znakomity dziennikarz, naprawdę świetny. Jakie on miał pomysły na nowe audycje i na tytuły audycji. Ja pomysły na audycję może miałam, ale nigdy nie potrafiłam tytułu znaleźć. Poza tą moją „Z malowanej skrzyni”, bo to wymyśliłam sobie sama. W każdym razie, żeby poprowadzić wiadomości czy być spikerem, bo wtedy byli spikerzy, czy prowadzić audycje na żywo, to trzeba było mieć kartę mikrofonową, zdać egzamin. Przyjeżdżali z Warszawy znani spikerzy, znani ludzie, i cała nasza, ile tam było osób, cała nasza gromadka miała do przeczytania przed nimi różne teksty informacyjne, nie informacyjne, beletrystyczne. Dopiero na tej podstawie oceniano czy głos jest radiowy, czy się dobrze słyszy, czy [nie jest] piskliwy, czy jest dykcja odpowiednia, czy odpowiednia modulacja głosu i tak dalej. Ja jeszcze gdzieś w domu mam tę kartę mikrofonową wydaną w sześćdziesiątym, chyba, ósmym roku. Bez tego nie można było zasiąść w studiu. Teraz podobno tego nie ma. Sądząc po tym, co się czasem słyszy, to chyba to już nie jest w użytku. To była karta mikrofonowa. Potem się mówiło, a być może że przez moment wprowadzono kartę ekranową dla dziennikarzy telewizyjnych. A dlaczego ja tak łatwo – łatwo i niełatwo – zrezygnowałam z radia? Tu znowu powiedzenie Janusza Weroniczaka: „Nie wierzę w życie pozaradiowe”. Nie pozagrobowe, tylko: pozaradiowe. Ja też nie wierzyłam w życie pozaradiowe, ale zrezygnowałam dlatego, że bardzo się tam źle czułam. Przez te moje te szesnaście lat pracy w radiu [dostałam] Srebrny Krzyż Zasługi, ale i, co najbardziej mnie ucieszyło, honorową odznakę PRiTV. To były takie rzadkie oznaczenia. Bo chyba dopiero po piętnastu latach je dostałam to. Po piętnastu latach było też sześć tygodni urlopu, nie cztery, więc doczekałam też jednego urlopu sześciotygodniowego. Kiedy wróciliśmy z mężem do Lublina, moi koledzy wiedzieli, że jestem, czasami wpadałam do radia. I było któreś tam kolejne lecie radia, już nie pamiętam które. I dowiedziałam się, bo środowisko jest małe, a trochę tych przyjaciół

miałam, że byłam na liście gości zaproszonych i ówczesny szef wziął tę listę i mnie z niej wyrzucił, wykreślił [ze słowami]: „Tej pani już tu nie potrzebujemy”. Mnie to tak strasznie zraniło, że tę swoją honorową odznakę odesłałam do prezesa radiokomiteu, już nie wiem kto nim wtedy był. [Wyjaśniłam], dlaczego. Że tak się postępuje z ludźmi, których kiedyś się hołubiło, obdarzało, nagradzało. Miałam taką satysfakcję. A potem spotykam się z tym ówczesnym moim szefem teraz na jakiś takich jajeczkach i opłatkach radiowych i on strasznie prosi, żeby do niego zadzwonić, a ja nie chcę. Nie jestem osobą pamiętliwą, raczej staram się żyć w zgodzie z wszystkim, ze sobą, z ludźmi, z bliźnimi. Ale to mnie strasznie zabolalo.

### **15. Rodowita lublinianka**

Ja urodziłam się nie w szpitalu, tylko w domu. Na ulicy, która wtedy nazywała się Wyszyńskiego. Ulica Wyszyńskiego dziesięć mieszkanie trzynaście. Chodziło o tego Wyszyńskiego z za wschodniej granicy, po czym ulica Wyszyńskiego została przemianowana na ulicę Sławińskiego. A ta ulica Sławińskiego przed wojną nazywała się ulicą Niecałą i dzisiaj jest to ulica Niecała. Ja [mieszkałam] pod dziesiątym, a pod ósmym był i do tej pory się mieści męski akademik KUL-u, w którym to akademiku zaprzyjaźniłam się z Kazikiem Grześkowiakiem, bo to był okres, kiedy on tam studiował. Nie wiem gdzie myśmy się [poznali], ale chyba na zasadzie, że tak przechodziłam obok, no bo z dziesiątki koło ósemki. W każdym razie z Kazikiem Grześkowiakiem myśmy się zaprzyjaźnili mocno, potem jeszcze w radiu były różne audycje z jego udziałem. Oczywiście różne biesiady w „Norze”, słynnym klubie środowisk twórczych przy ulicy Krakowskie Przedmieście. Gdzie właśnie kiedyś i Stachurę poznałam, tylko człowiek sobie wtedy nie zdawał sprawy z kim rozmawia. Tak samo, czy Kazik Grześkowiak wtedy był już sławny? Nie! On po prostu był bardzo sympatycznym, rozrywkowym kolegą. Tak, jak właśnie Kazik Łojan, później Jacek Abramowicz, który był wtedy też i pianistą i kierownikiem klubu „Nora”, czy Kazik Pawełek z kabaretu Czart. W każdym razie to były moje znajomości. Skończyłam [podstawową] szkołę muzyczną, nawet dostałam się do [szkoły] średniej w klasie fortepianu, ale na pewno nie byłam mocno utalentowana. A jednocześnie nie byłam dzieckiem pilnym w takim sensie, że godzinami będę siedziała przy instrumencie a te ćwiczenia muzyczne, to były takie, że ja po prostu mamę oszukiwałam. Chociaż jedyny posag mojej mamy, moja mama pochodziła spod Ostrowa Lubelskiego, morga ziemi, którą tam miała, została sprzedana na kupno używanego pianina dla mnie. Bo w domu nie było pianina, a trzeba było ćwiczyć. Jedyny posag mojej mamy poszedł na to pianino. Szkoła wtedy mieściła się na Krakowskim Przedmieściu przy Wieniawskiej. A w ogóle naukę zaczynałam w starej filharmonii, to był rok '2, klasy były na balkoniku. Rodzice postąpili bardzo ładnie, bo miałam 14 lat, ale powiedzieli wybieraj. Zdawałam dwa egzaminy – do liceum po Urszulankach tutaj przy ulicy Narutowicza i do [szkoły] muzycznej, do klasy fortepianu. Dostałam się tu i tu, ale rodzice powiedzieli wybieraj. Więc z bólem serca,

bo wszystkie moje koleżanki z siódmej klasy poszły do muzycznej średniej, ale ja poszłam do liceum ogólnokształcącego. I bardzo się z tego powodu cieszyłam, bo tam właśnie znakomita pani profesor Barbara Kołłątaj-Piernikarska potrafiła we mnie zaszczerpić miłość do książek. Myśmy mieszkali w takiej starej pożydowskiej kamienicy, właśnie tam pod dziesiątką na Niecałej. Okna wychodziły na studnię. Światła, słońca to ja tam nie widziałam prawie nigdy. Mało tego, grzyb w domu, szczury, dramatyczne historie. Tak się kiedyś mieszało. Mój tata utrzymywał naszą trójkę. Mama niby nie pracowała, ale zajmowała się całym domem. Jak ja sobie wyobrażę jak moja mama ciężko pracowała. Pani która przed wojną skończyła studium nauczycielskie, która cudownie haftowała i miała talenty plastyczne, a tu raptem piece węglowe, kuchnia węglowa, balia, w której się prało pościel, w której się też i dzieci kąpało, bo przecież nie było łazienki w ogóle. Ubikacja była na korytarzu. W końcu tata jakoś załatwił z administratorem, że tak jakby zajęliśmy tę ubikację. Która była w strasznym stanie, ale była, a łazienki nie było do końca. Tata kończył prawo na KUL-u przed wojną, potem przed samą wojną rodzice byli w Warszawie. Tata dostał pracę w Narodowym Banku Polski, już na świecie była dwójka mojego rodzeństwa. Wybuchła wojna i z jednym starszym i drugim mniejszym dzieckiem rodzice uciekli z tej Warszawy zostawiwszy całe piękne mieszkanie. Uciekli na wieś, tam skąd mama pochodziła, ponieważ ojciec był poszukiwany przez Gestapo i musiał się ukrywać. Ja to wiem oczywiście tylko z opowieści, bo ja się urodziłam w '5 roku jako trzecie dziecko. Tata zawsze mówił że będzie tyle dzieci ile Pan Bóg da. Strasznie chciał dużo, bo mój ojciec był dziewiąty, najmłodszy, a mama była siódma, też najmłodsza [z rodzeństwa]. Takie były wtedy przed wojną rodziny. Jak już byłam dzieckiem takim myślącym, to pamiętam, że musiałam na paluszkach cicho chodzić i nie hałasować, ponieważ tata się z drugim kolegą uczył do egzaminu adwokackiego. Całą rodzinę trzeba było ojcu utrzymać, więc ja [chodziłam] po cichutku, żeby tata się uczył. Na studiach dostawałam sto złotych kieszonkowego. To było dużo. Ale dorabiałam sobie, nie tylko tym moim pisaniem do „Konfrontacji”, czy do „itd”, w radiu to nie wiem czy dostawałam jakieś pieniądze jako współpracownik, ale dostałam nagrodę od prorektora za działalność, to był tysiąc złotych, to było szalenie. Albo siedziałam w sądzie, w archiwum i wypisywałam ojcu rzeczy potrzebne do rozpraw. Z tym, że mój ojciec zajmował się tylko sprawami cywilnymi. [Nie prowadził] żadnych karnych, żadnych rozwodowych. Absolwent KUL, szalenie wierzący, współtwórca Towarzystwa Przyjaciół KUL, współtwórca Klubu Inteligencji Katolickiej, z której odszedł po działalności pana profesora Bendera, bo tego to już mój tata nie mógł zdzierżyć. W każdym razie mój ojciec żył do dziewięćdziesiątego szóstego roku życia. Jeszcze w dziewięćdziesiątym czwartym czy dziewięćdziesiątym trzecim chodził do pracy dwa razy w tygodniu do Rady Adwokackiej, gdzie prowadził bibliotekę. Oczywiście już nie mógł być czynnym adwokatem, ale bibliotekę prawniczą prowadził. Mamusia z kolei [żyła] dziewięćdziesiąt siedem lat. I to są takie historie z młodości.

## 16. Ja wiedziałam, że to będzie polonistyka

Zaczęłam mówić, dlaczego polonistyka i skąd ten [pomysł]. Mama gotowała w kuchni, a w drugim, dużym pokoju, gdzie było pianino ja rozkładałam nuty i [grałam] jedną ręką albo i dwiema, bo gamy czy wprawki dało ćwiczyć bez patrzenia w nuty. A pod spodem miałam książkę i książki czytałam. Ja połykałam książki. Mama kazała iść spać, gasiła światło, a ja miałam latarkę i czytałam książki pod kołdrą, stąd moje okulary już od szesnastego roku życia. Jak byłam już w liceum, to przeczytałam błyskawicznie całą bibliotekę szkolną. Na Kapucyńskiej, gdzie teraz są jakieś sklepy i butiki, była biblioteka publiczna. Chciałam zacząć wypożyczać sobie tu książki, bo nie miałam już co czytać. Pani [bibliotekarka] powiedziała, że owszem, a miałam wtedy, piętnaście, czy szesnaście lat, ona mnie zapisze do biblioteki, ale jeśli przyniosę zaświadczenie ze szkoły, że ja już bibliotekę szkolną przeczytałam całą. Dostałam takie zaświadczenie, zostałam przyjęta do biblioteki i nawet miałam jakieś nagrody za czytelnictwo. Było takie pismo „Filipinka” dla młodych panienek i w tym piśmie rubryka teatralna. Oczywiście natychmiast się do tego zapisałam i parokrotnie jako uczennica bywałam w teatrach warszawskich. W Dramatycznym, we Współczesnym, w Ateneum. Takie były wyjazdy dla Kółka Filipinek. W tamtych czasach! Ale nie mogłam mojemu tacie darować jednej rzeczy, kiedy się przenieśliam ze szkoły muzycznej do ogólnokształcącej. Oczywiście w szkole muzycznej w tamtych czasach przykładało się ogromną wagę do przedmiotów muzycznych, do solfeżu, do ćwiczeń, natomiast o wiele mniejszą do matematyki, na przykład. A ja z matematyką byłam na bakier od dziecka, ale zawsze miałam piątki i czwórki, nie miałam żadnych niższych stopni. Przychodzę do ogólniaka i na pierwszy okres ósmej klasy dostaję dwóję. To była pierwsza moja dwója. Tata przyjął to bardzo srogo. Ja w tym czasie zapisałam się, oczywiście za zgodą rodziców, do kółka dramatycznego do WDK-u, to był Wojewódzki Dom Kultury na zamku. I w tym kółku dramatycznym dostałam główną rolę Śpiącej Królowej. Już byłam obsadzona, już widziałam te stroje, to wszystko. Będę królowną! Tata zobaczył świadectwo na pierwszy okres, dwója z matematyki, mówi: „Koniec z chodzeniem na kółko. Masz przysiąc fałdów i nauczyć się matematyki”. A ja autentycznie nie znałam tabliczki mnożenia. To fakt. Płacze, szloch nie pomogły, absolutnie musiałam poprawić te stopnie. Oczywiście rola księżniczki mi uciekła sprzed nosa, już nigdy tam nie wróciłam. Ale takich miałam wymagających rodziców. Nie mam do tego pretensji, aczkolwiek jeszcze długo tacie wypominałam, że mnie prawie unieszczęśliwił, bo mi rolę zabrał. W tym naszym porszulańskim liceum, bo przecież ta szkoła mieściła się vis a vis teatru Osterwy, miałyśmy zajęcia recytatorskie najpierw z panią Teresą Lasotą, a potem z panią Haliną Machulską. I ja pamiętam obecnego pana reżysera bardzo poważnego Julka Machulskiego, który czasem przychodził z mamą, z Haliną. Dlatego mówię: z Haliną, że po wielu latach przeszliśmy na ty. Musiała go zabierać do nas do klasy, bo nie miała co z nim zrobić, on mógł mieć jakieś dwa, trzy lata, nie więcej. Pani Halina

siedziała przy stoliku, za nią była tablica, ona coś tam z nami próbowała, uczyła nas, a mały Julek brał kredę i rysował, jak dla nas panienek piętnasto, szesnastoletnich, strasznie obsceniczne rzeczy, bo pupę, mówiąc delikatnie. Przecież dla panienek z Urszulanek, bo w tej szkole były jeszcze przedwojenne nauczycielki, to było straszne. Wtedy szkoła była żeńska. Staszic był męski, Zamojski był męski, a Urszulanki i Unia Lubelska były żeńskie Kiedyś z kolei przygotowywała nas do takiego ogólnopolskiego konkursu recytatorskiego w Białymstoku. Zajęliśmy, pamiętam, pierwsze miejsce. To były lata sześćdziesiąte, początek sześćdziesiątych chyba. W każdym razie zrobiła z nami poezję afrykańską. Pamiętam, że całe to nasze kółko, nie wiem, ile tam nas było, byliśmy ubrane w czarne trykoty, tak jakby rajstopy, których wtedy jeszcze nie było, czarne jakieś trampeczki, czarne bluzeczki, takie jakby kominiarki też z rajstop z wycięciem na oczy, usta i myśmy były taką grupą Afrykanów recytujących rzeczywiście poezję afrykańską. Było jakieś sztuczne światło, jakby ognisko, naprawdę zrobiła z tego majstersztyk, że myśmy tym spektaklem wygrały konkurs w Białymstoku. Kiedyś miałam do niej przyjść do domu żeby coś przynieść, czy lekcje z nią mieć. Wtedy państwo Machulscy mieszkali na ZOR Zachód, na Zuchów drzwi w drzwi z moim ojcem chrzestnym. Poszłam tam, zapukałam i zobaczyłam taki widok: Jana Machulskiego leżącego w przedpokoju, na nim siedzącego okrakiem w pióropuszu Indian małego Julka, który prawie skalpował, tatusia, a on się śmiał. Straszny to dla mnie był widok, ponieważ my panienki kochałyśmy się na zabój w Janie Machulskim. Klasa była podzielona, bo w tym samym czasie w [lubelskim] teatrze był też Stanisław Mikulski. Więc część moich koleżanek kochała się w Stanisławie Mikulskim, ja zaś byłam zwolenniczką Jana Machulskiego. I po wielu, wielu latach, właśnie wtedy kiedy byłam na tym niedoszłym stażu telewizyjnym, miałam kontakt z panią Haliną. Odwiedziłam ich w mieszkaniu na Ochocie, stąd ten Teatr Ochoty, który stworzyli. Byłam u nich w domu i tak serdeczne to było spotkanie. Wtedy właśnie powiedziała do mnie: „Mów mi po imieniu.” Dla mnie to przecież była i aktorka, i reżyser i w ogóle idolka. I taka sympatia jakaś przetrwała. Pytała o koleżanki, co która robi, jak się komu powiodło w życiu. I potem jeszcze miałam przyjemność nagrywać z Machulskim, kiedy było Zamojskie Lato Teatralne. On tam przyjechał z teatrem, a ja tam pojechałam właśnie z telewizją. I ten jeden jedyny chyba mój wywiad telewizyjny właśnie tam przeprowadziłam z Machulskim. Tak, że od razu wiedziałam właśnie, że to będzie polonistyka. Od razu w , nawet w dziewiątej klasie. Jedenasta klasa to była matura. Najpierw zakochałam się w mojej nauczycielce polskiego, pani Basi Kołłątaj, potem ta miłość do książek, nie żaden teatr, nie. Ta księżniczka już mi uciekła z głowy. Ale właśnie polonistyka. W liceum były dwie klasy. Jedną była klasa łacińska, którą wybrałam po prostu z wygodnictwa, bo wiedziałam, że mój ojciec bardzo dobrze znał łacinę i grekę, bo przecież w gimnazjum które kończył w Przemyślu przed wojną to właśnie takie przedmioty były. Niedawno oddałam wszystkie jego, świadectwa, między innymi gimnazjalne, do archiwum lubelskiego. I jako jedna jedyna z tych dwóch klas poszłam na polonistykę.

Większość szła na medycynę, na prawo, a na polonistykę to tylko ja jedna. Matura to dla mnie był koszmar, jeśli chodzi o matematykę. Bo to naprawdę był moja pięta achillesowa. Natomiast maturę z języka polskiego napisałam tak dobrze, że byłam zwolniona z ustnego egzaminu. Ale pani profesor Basia przyszła do mnie i mówi: „Basiu ja cię proszę, napisałaś bardzo dobrze, dobrą pracę, ale przystąp do ustnego, bo ja się chcę tobą pochwalić”. Wtedy były komisje z kuratorium oceniające nauczycieli. Więc zdawałam i ustny. Natomiast matematykę zdałam tylko dzięki temu, że jedno zadanie jakoś na pisemnym wymęczyłam, drugie rozwiązałam połowicznie, a trzecie ściągnęłam. Dokładnie. Po tym pisemnym był [egzamin] ustny, już tutaj nikt mnie nie mógł zwolnić. Wyciągało się pytania I pamiętam, była taka urocza matematyczka, pani Smółkowa, która widziała, że jestem noga. Wyciągnęłam takie prościutki [pytania], że ona powiedziała do mnie przy wysokiej komisji: „Wiesz co Basiu, nie obraż się ale ty masz więcej szczęścia, niż rozumu, matematycznego”. Fakt. Zostało mi to do dzisiaj, bo ja na bakier z matematyką jestem, aczkolwiek nie miałam żadnego manka w domowym gospodarstwie nigdy ani w Solidarności chociażby.

### **17. Profesorowie byli przedwojenni**

[Na polonistyce] profesorowie byli przedwojenni. Pani profesor Janina Garbaczowska była specem od literatury. Pani profesor Linde od gramatyki, też przedwojenna postać. Jak pracowałam w radiu, to przez te pół roku do zrobienia magisterium musiałam się ukrywać, ponieważ pani profesor Garbaczowska gnębiła dziennikarzy radiowych, nie znosiła ich. Ale słyszałam od koleżanek że ona poznała mnie gdzieś po głosie w radiu. Wtedy nie było wyboru, jak się słuchało radia, to albo ogólnopolskie, albo lokalne, czyli Lublin. Ja już wtedy nie dawałam nazwiska, ale dawałam głos i gdzieś mnie usłyszała. Pracę magisterską zjechała mi strasznie. Zresztą miała rację, bo ja pisałam tą pracę jedną ręką, mając tu już etat i ucząc się mojego nowego, przyszłego zawodu. Więc praca nie była rewelacyjna, to to trzeba jej przyznać. Nie była to praca naukowa, w każdym razie. Na rozdanie dyplomów przyszłam z magnetofonem oficjalnie nagrywać materiał do dziennika. I ona była oczywiście. Podeszłam do niej, o coś tam zapytałam, podziękowałam w imieniu nas wszystkich za te pięć lat studiów i tak dalej, a ona mówi: „No widzisz dziecko, tak mnie oszukiwałaś, poszłaś do radia”. Ja mówię: „Pani profesor, ale to pani mnie skierowała pierwsza”. Bo to ona mnie do radia akademickiego wysłała. Ale ze mnie nie byłby żaden naukowiec. Prawdopodobnie gdyby nie to radio, to może bym w szkole uczyła, aczkolwiek udzielałam korepetycje na studiach i to było dla mnie tak ciężki kawał chleba, aż nie daj Panie Boże. A wtedy młodzież, dzieci to były anioły w porównaniu z tym, co jest teraz. Zdawałam też egzamin z gramatyki u pana profesora Leona Kaczmarka, twórcy logopedii polskiej. Tam też nie za bardzo mi poszło, bo dla mnie wszystko to wykuć i zapamiętać, to tak jak formuły matematyczne, nie bardzo w mojej wyobraźni to się mieściło. Na ustnym magisterskim usłyszałam: „No, stawiam

tróję, ale pani musi mi tutaj obiecać, że nie pójdzie pani uczyć do szkoły, dopóki nie nadrobi tych zaległości”. Ja mówię „Tak jest panie profesorze”, a w duchu: „Przecież ja już jestem po, już pracuję, już na pewno do szkoły nie pójdę”.

### **18. Wspomnienia o prof. Janinie Garbaczowskiej**

Muszę powiedzieć, że myśmy mieli do tych ludzi, do tych właśnie przedwojennych profesorów ogromny szacunek połączony prawie z uwielbieniem. Zasłużony. Nie tylko na studiach, bo i w liceum, ale na studiach szczególnie, dla nas to byli prawie bogowie. Pamiętam, że kiedy byłam wiceszefową Koła Naukowego Polonistów, pani profesor wysłała mnie do Krakowa, do pana profesora Kleinera, żebym go zaprosiła do nas, do Lublina na spotkanie z wykładem do Koła [Naukowego polonistów]. Oczywiście dała mi swój list polecony, a chodziły takie plotki, że ona była jego wielką sympatią przedwojenną i, że ona się w nim kochała. Pamiętam, że pojechałam do tego Krakowa, pociągiem, rzecz jasna. Nie było innego połączenia. Trafiłam po raz pierwszy w życiu na UJ. Dla mnie już te mury uczelni były czymś niesamowitym, odświętnym. Byłam zaanonsowana, że przyjadę ale odczekałam jakiś czas pod gabinetem profesora, żeby mu nie przeszkadzać. Cała trzęsąca się, naprawdę ze strachem weszłam do niego i zobaczyłam uroczego, znakomitego, świetnego człowieka. A jeśli ktoś miał za sobą tyle wydawnictw, tyle opracowań, tyle wkładu w język polski, w naukę naszą, to dla mnie to był ktoś kogo trzeba po rękach całować. Nota bene ojca do śmierci zawsze w rękę całowałam. Z własnej woli, przez szacunek. Był rok '6, czyli trzeci rok studiów. Udało nam się zrobić tak zwany półmetek. Wtedy to jeszcze nie było bardzo modne, trzeba było mieć zgodę nie tylko pani profesor Garbaczowskiej, szefa katedry, ale również wice i prorektora do spraw studenckich. Bo miało być z muzyką, w humanistyce na miasteczku. Zaprośiliśmy oczywiście panią profesor Janinę Garbaczowską, ja byłam organizatorem, bo przecież musiałam mieć pełno [zajęć]. Ustaliłam z panią profesor, że panienki przyjdą ze swoimi sympatiami, bo wiadomo, że to jest niemal żeński [kierunek]. Owszem dobrze, mówi [pani profesor]: „Tylko gwarantujesz mi, odpowiadasz za to, żeby nie było żadnych dekoltów u pań. Panie mają być skromnie ubrane, żadnych dekoltów. A jeśli chodzi o alkohol, to jedna butelka na stół”. A przy stole nas siedziało osiem osób, czyli jedna butelka wina na osiem osób. Żadnych więcej. Przyszli też asystenci, wiadomo, a myśmy drżały do końca, czy ona przyjdzie czy nie przyjdzie, bo nie powiedziała, że nie przyjdzie. I ponieważ dziewczyny oczywiście przyszły ubrane tak jak młode, dorosłe dziewczyny, czyli w dekoltach. Panowie ci, którzy przyszli, poprzemycali i alkohol mocniejszy niż wino. To był przecież sześćdziesiąty szósty rok. I ludzie mieli po dwadzieścia, dwadzieścia parę lat. Pani profesor nie przyszła, ale asystenci byli. Bo ktoś z uczelni być musiał. A w ogóle zabawa mogła być tylko do godziny dwunastej. W pewnym momencie pilnujący [portier], wywołuje mnie, bo telefon był tylko tam w portierni, że dzwoni do mnie pani profesor. Więc ja cała w nerwach biegnę do telefonu. Okazuje się, że pani profesor pyta jak się



bawimy. Ja mówię, że świetnie. – A czy jest tak jak mówiłam? Nie ma jakiś takich wielkich dekoltów? – Nie ma pani profesor – mówię, łącz w żywe oczy. – Alkoholu za dużo? – Nie, nie ma też, pani profesor. – No to dobrze, to bawcie się dzieci. Jurek Bartmiński był naszym opiekunem roku, pan magistrem I do tej pory pamięta taki moment, jak panowie, nasi chłopcy trochę popili, aczkolwiek nikt tak się nie upijał kiedyś, ale trochę w głowie zaszumiało. Nie było żadnych ekscesów, broń Boże, ale w głowie im zaszumiało. I pamiętam taki widok. Jurek już ma zamiar wyjść, już opuścić tę zabawę, wychodzi do holu, a moich dwóch kolegów, to akurat byli koledzy z roku, biegnie za nim ze szklanką z wódką. – „Panie magistrze, panie magistrze, pan się jeszcze napije z nami” – już na tym holu. A on tak spokojnie, przecież mógł zrobić awanturę, a on tak spokojnie popatrzył na nich i mówi: „Panowie, nie traktujcie mnie jak furmana”. Nie było potem żadnych reperkusji tego naszego półmetka. Ale było bardzo pięknie, było co wspominać, naprawdę.

### **19. Cykl reportaży "Rodowody"**

Muszę jeszcze wspomnieć o jednym cyklu reportaży, który jest pewnie w archiwum lubelskiej rozgłośni, proponowałam, żeby trafił też do Muzeum Wsi Lubelskiej, do skansenu, ale nie wiem, czy to zostało dopełnione. Cyklu reportaży pod tytułem „Rodowody” nie wymyśliłam ja, tylko Janusz Danielak. To było w czasie, kiedy powstawało, czy już powstało Muzeum Wsi Lubelskiej, przynajmniej jeden sektor, zamojski już był, może dwa sektory. I on sobie wymyślił, że ja pójdę śladem ostatnich właścicieli tych chałup, które zostały przeniesione do skansenu. Na przykład słynna chałupa garncarska z Urzędowa, wiadomo – kupili ją od kogoś, od słynnego garncarza. Ale rzecz polegała na tym, żeby trafić, żeby pokazać te właśnie pokolenia, te rodowody. Kupiono od garncarza, ale kto był przed nim, kto był po nim? To była karkołomna praca, ja musiałam prawie bawić się w drzewo genealogiczne, żeby dotrzeć do tych dzieci, które niekoniecznie mieszkały w Lublinie i niekoniecznie w Urzędowie, tylko na przykład gdzieś w zupełnie innym miejscu. Oczywiście nie dostawałam delegacji żeby jeździć po całej Polsce, ale jeśli były gdzieś na skraju województwa lubelskiego, to tam jechałam. Więc tego materiału przywoziło się dużo i stałam się prawie taką archiwistką, bo [trzeba było] to poukładać. Raz – poukładać, a po drugie, żeby to było ciekawe, żeby to się słuchało. I to, czego mnie właśnie nauczyli Danielak, Krystyna Kotowicz, czy Weroniczak to to, że autora ma nie być w tej audycji. Autor jest takim moderatorem, tym właśnie, który montuje, wyrzuca co niepotrzebne, co nie znaczy, że ma przekłamywać rzeczywistość. Ale jego, jako jego głosu, nie powinno być. Ja też się zawsze strasznie złościłam jeśli musiałam gdzieś kiedyś, bo tak wynikało z nagrania, zostawić kawałek siebie. Bo to nie było ważne. Ważny był ten człowiek, jego historia była ważna.

### **20. Problemy etyczne reportażysty**

Pamiętam jeden z moich pierwszych reportaży. Byłam przecież bardzo młodą

dziewczyną wtedy, jak zaczęłam pracować, jeszcze bez żadnego doświadczenia. Szukałam tematów, gdzie się dało, między innymi podpytywałam mojego tatę, adwokata, który prowadził różne sprawy cywilne, czy nie ma jakieś ciekawej sprawy, którą mogłabym nagrać, zrobić z tego reportaż. I pamiętam taki wstrząsający dla mnie reportaż. Do tej pory jedno zdanie mi w uszach brzmi. Tata prowadził sprawę, awantura, jak to na wsi, o miedzę i kasztan na tej miedzy. Dwie rodziny, obok siebie żyjące nie mogły się dogadać, były jakieś rękoczynny, nie rękoczynny aż doszło do sądu. Sprawa była w sądzie, a tata był adwokatem jednej ze stron, już nie pamiętam, czy tej dobrej, czy złej. W to starałam się nie [wnikać], przedstawić obiektywnie, ale to jedno zdanie nie pozwoliło mi na obiektywną ocenę jednej ze stron. Przedstawiam tę historię, jestem u jednych, potem musiałam cichcem iść do drugich, żeby tamci nie widzieli, bo przecież to jakaś zabita deskami wioska. I w pewnym momencie jedna ze stron, a to same kobiety głównie, opowiada – a ta mi to zrobiła, a tamta mi tamto zrobiła. A ta mi tak, a to było moje. Moje! I w pewnym momencie, a to gdzieś było w zamojskim, może hrubieszowskim, bo tak pięknie zaciągała, ten akcencik [miała] taki zaciągający i mówi tak: „No bo wie pani, taką mi zrobiła krzywdę. Ale to ja poszłam do kościoła, klękałam przed obrazem Najświętszej Panienki i mówię »Najświętsza Panienko. Ukarz ich. No zrób coś żebym ja była w prawie«”. I mówi mi to takim egzaltowanym tonem, a za chwilę już zupełnie trzeźwym: „I wie pani co? No i Panienka mnie wysłuchała bo następnego dnia samochód im dzieciaka zabił”. Ja bardzo długo zastanawiałam się, czy to zostawić. Bo dla mnie to było tak dramatyczne, tak straszliwe, że nie wiedziałam czy to zostawić w tej audycji. I to był taki dylemat między atrakcyjnością, w cudzysłowie, reportażu, a etyką. Zostawiłam. Ale to zdanie do tej pory pamiętam. To był jakiś sześćdziesiąty ósmy, sześćdziesiąty dziewiąty rok. Pierwsze moje próby reportażowe. Była jeszcze taka straszna historia rodziny. Oni byli starsi państwo, świadkowie jehowy zresztą, chyba, ale to nie ważne, bo bardzo uczciwi ludzie. Jego poznałam jeszcze dawno temu jak chodziłam do klubu „Nora”. On był szatniarzem, takim odźwiernym tego klubu, a jego żona sprzątała. Ja już przestałam tam chodzić, ale oni mieli ze mną kontakt, bo to bardzo mili ludzie byli. Mieszkali, na Krakowskim, niedaleko klubu, w takim starym mieszkaniu. Dowiedzieli się chyba, że mój ojciec jest adwokatem, zaczęli prosić jakąś pomoc, bo była dramatyczna sytuacja z ich córką, która jakoś tak nieciekawie poprowadziła swoje życie i mówiąc delikatnie, traktowała tych rodziców okropnie. Podrzuciła im dziecko i to dziecko jeszcze bardziej ich szantażowało. A oni tak się miotali między miłością do tego dziecka, staraniem o zapewnienie mu w ogóle jakichś warunków, bo oni sami niewiele zarabiali, a tą córką, która przychodziła i robiła awantury. Coś niewyobrażalnego. I ja się w to włączyłam, w tym sensie, że za jej zgodą zrobię z tego reportaż. Miałam ogromnie dużo materiału nagranych, bo osobno nagrywałam z nią, osobno z nimi, osobno z tym dzieckiem w jakiś sposób delikatny, bo to dramatyczne rodzinne rzeczy. Ale już nie dokończyłam, bo tuż przed stanem wojennym skasowali mi te wszystkie moje nagrania. To wszystko zostało wyrzucone,

skasowane, mnie wyrzucono z pracy, więc już do tego nikt nie wrócił.

## 21. Lubelska Szkoła Reportażu

Żeby zrobić naprawdę rzetelnie reportaż, to trzeba bardzo dużo, mocno i długo pracować. Niby wszystko zaczyna się od pomysłu. Tak, ale czasem pomysł to jeszcze nie wszystko. Wtedy, w tamtych dawnych czasach była ta lubelska szkoła reportażu. Robiliśmy – Danusia Banaszekiewicz, Krystyna Kotowicz, słuchowiska z aktorami teatru Osterwy i nie tylko, nagrywaliśmy [kabaret] akademii medycznej, który prowadził Irek Szymański, potem Łoża 44 – ja nagrywałam z nimi program. To radio było cudowne. Kiedy na emeryturę odchodził z radia pan inżynier Lucjan Foryś, uroczy człowiek i przedwojenny jeszcze inżynier od całej tej techniki, ktoś rzucił taki pomysł – będzie pożegnanie Lucjana, zrobimy mu specjalną audycję. I ta nasza gromada, nas było wtedy, ile? – Dwudziestu dziennikarzy, chyba. Sto osób liczyła cała rozgłośnia, z techniką, z administracją, a dziennikarzy było chyba dwudziestu, nie więcej. I każdy miał masę roboty, każdy był zmęczony. Ale tu się okazuje, że wszyscy, jak tam byliśmy, każdy machnął ręką na swoje jakieś odroczyznki, czy jakieś obowiązki, no nie zawaliło się. Całą noc siedzieliśmy i z różnych fajnych, zabawnych nagrań zrobiliśmy tak zabawną audycję pożegnalną Lucjana Forysia, że on płakał jak myśmy to oficjalnie odtworzyli. To był pomysł no, minutowy. Każdy coś pomyślał, każdy coś napisał. No naprawdę, to było tak zabawne, jak najlepsza audycja satyryczna. Mam to przebrane na kasetę, bo nie mogłam sobie darować, żeby nie mieć tego na pamiątkę. Tacy byliśmy wtedy. Do momentu właśnie stanu wojennego. I jakieś takie przeobrażenie nastąpiło w tej, nie wiem, chęci posiadania? Posiadania niekoniecznie nagród, prestiżu, czy sławy, ale jakichś materialnych rzeczy. Ja na pewno, jasne byłam młodą dziewczyną, też chciałam się ubrać, chciałam mieć pieniądze na wakacje, na urlopy i jakoś przy pomocy rodziców, ale i nie mając żadnych innych obowiązków, dawałam sobie radę. Ale nie zabiłabym się za każde pieniądze, za wszystko. A to to stało się właśnie jakby wyznacznikiem pozycji. Ja byłam szczęśliwa ogromnie na początku, strasznie dumna jak do mnie ktoś mówił przez telefon: „Pani redaktor”. To, Jezus Maria, ja redaktor, no coś pięknego. A potem też czasem może mnie zakłuło, jak stałam na Lipowej pod Koziółkiem, pod tym sklepem samoobsługowym LSS-u, sprzedawałam tulipany i ktoś mówił: „Dzień dobry, pani redaktor.” No to tak, no tak pracowałam, zarabiałam na życie a tulipany były moje, ja je robiłam też tymi oto „rękami”, które już wtedy nie wyglądały na takie od montażówki, czy od pianina, tylko bardziej zmęczone. Mimo wszystko z ogromnym sentymentem wspominam te moje radiowe czasy. Jak byłam na polonistycę, to nie przypuszczałam, że będę dziennikarzem. Byłam. Nigdy nie przypuszczałam, że będę ogrodnikiem. Byłam. Nigdy nie przypuszczałam, że zacznę się znać na medycynie. Oczywiście na tej maluteńkiej medycynie, czyli powiedzmy na nowych lekach, badanych w Polsce. Po prostu jak się w coś angażuję, to się angażuję. Dlatego odmówiłam Januszowi Winiarskiemu powrotu do radia, bo byłam z

mężem, przy mężu. Potem zaczęłam walczyć o jego życie, nie udało się. I w tej chwili zrobiła się taka pustka. A jeszcze sama walczę z depresją, więc jest ta przerwa, ale ja nie sądzę, żebym tak za długo usiedziała. Ta pustka nie polega na tym, że ja siedzę, czy leżę na tapczanie i płaczę, rozpamiętuję. Nie. Bardzo dużo czytam, chodzę na spacer, ale jeszcze mnie nie ciągnie w jakąś działalność. Jeszcze muszę nabrać dystansu i może znowu gdzieś mnie rzuci.

## **22. Nikt nie mówił do niego Franek, tylko każdy mówił do niego Hipciu**

Z Frankiem Piątkowskim, który w tamtych czasach naszych studenckich był zwany nie Frankiem, tylko Hipciem, poznaliśmy się na pierwszym roku studiów, bo mieliśmy – polonistyka i prawo, wspólne zajęcia, o ile pamiętam, z historii. On miał na drugie imię Hipolit i nikt nie mówił do niego Franek, tylko każdy mówił: Hipciu. Potem z Frankiem mieliśmy kontakt, spotykaliśmy się w radiu akademickim i właśnie w „Konfrontacjach”. Później, w czasach, kiedy pracowałam w radiu, te kontakty jeszcze były, ale słabsze. A potem się rozluźniły. Franek się ożenił, ja wyszłam za męża, wyjechałam, wróciłam. Spotykaliśmy się przelotnie, na przykład w ostatnich latach, kiedy pracowałam w ośrodku badań klinicznych u profesora Szczepańskiego przy ulicy Kruczej, to przy tej ulicy Kruczej, Franek miał swoją kancelarię adwokacką. Bo on jeszcze wrócił do zawodu. Był wykładowcą, był dziennikarzem, wyemigrował przez moment z Lublina, potem wrócił. Więc jeszcze żeśmy się na ulicy mijali, spotykali, witali. Ale to już były takie sporadyczne spotkania, bo każdy miał już coś, jakiś swój bagaż do załatwienia.

## **23. Problem był taki, że jak ja mam go w tych 14-tu minutach zmieścić**

Mirka Dereckiego znałam podwójnie. Z radia, dlatego, że on się przyjaźnił z Danusią Bieniaszkiewicz, a ja wtedy byłam w redakcji u Danusi, i z „Nory”, ponieważ często bywałam w „Norze” i Mirek też często w „Norze” bywał. W zasadzie pomysł na cykl gawęd „Corso, czyli wędrówki do dawnego kina” wyszedł od Danusi Bieniaszkiewicz. Ona to zaproponowała i chciała, żebym ja to robiła z Mirkiem. Żeby ja z nim nagrywała. Wiedziałam, że będę miała z Mirkiem tylko taki problem, że będę go musiała skracać, to znaczy montować, bo Mirek ze swadą mógł opowiadać godzinami, a ja na audycję, na tę gawędę miałam piętnaście minut. A dokładnie czternaście minut, trzydzieści sekund, w których to czternastu minutach i trzydziestu sekundach musiała się zmieścić czołówka audycji i zapowiedź. Mirka trzeba było po prostu [hamować]. Więc zawsze z nim się spotykałam przed nagraniem w radiu, ustalaliśmy, [o czym] będzie ta gawęda, że będziemy mówić na przykład na temat kina radzieckiego w Lublinie powojennym, co wyświetlali, w jakich kinach. Bo to nie była gawęda ciurkiem lecąca, tylko jeśli na przykład mówił o filmach radzieckich, to dawałam przerywniki, jakiejś armijno czerwone pieśni z tamtych czasów. Jak mówił o przedwojennych filmach, no to był Bodo, czy Ordonka. W każdym razie, problem był tylko taki, jak ja mam go z tą muzyką jeszcze w tych czternastu minutach zmieścić, a

nie, że to będzie nudne. Czasem udawało się dwie nagrać, ale nie na naraz, bo jednak trzeba było sobie zrobić dystans, przerwę. Prowadziliśmy te audycje do '0 roku, [wtedy] nagraliśmy z Mirkiem ostatnią gawędę, a potem chyba już się szefowi przestało podobać. Bo to nie było tak, że my, czy dziennikarz, czy kierownik redakcji wymyślaliśmy coś i to było już zaklepane i mogło iść do końca świata. Nie. Bardzo często jakieś widzimi się jednego, czy innego naczelnego powodowała, że audycja spadała z anteny. Ja na przykład strasznie zawsze walczyłam o tę moją „malowaną skrzynię”. Udawało się, bo to było zawsze modne. Bo to folklor, bo to lud, bo to wieś. A poza tym potem okazało się, że jest takie bogate archiwum, że właśnie z samych tych naszych nagrań, z moich pierwszych nagrań korzystało potem archiwum Polskiego Radia w Warszawie, w programie trzecim, czy drugim, już nie wiem. Więc coś tam się przydało.

## 24. „Nora”

Kultowe miejsce, kultowe miejsce. Tam trzeba było mieć kartę wstępu, kartę klubowicza [wydawana przez] Stowarzyszenie Dziennikarzy Polskich albo Związek Zawodowy Dziennikarzy. To nie było tak, że z ulicy można było sobie przyjść. Ja z kolei trażałam tam też i dlatego, że wtedy kierownikiem klubu „Nora” przed Jackiem Abramowiczem był chyba Erwin Staniek, który był dyrektorem Domu Pracy [Twórczej] w Kazimierzu. W każdym razie jeden i drugi byli kolegami ze studiów mojej starszej siostry. Więc już miałam jakieś fory, jakieś chody, że mogliby mnie tam wpuścić. Ale nie, ja odczekałam kiedy już byłam dziennikarzem, załatwiłam sobie tę kartę wstępu i tam chodziłam. Oczywiście nie chodziłam wtedy jako młoda dziennikarka na wódkę, co się później zdarzało nam, jako starszym i stażem, i wiekiem dziennikarzom. Chodziłam tam posiedzieć, poznać ludzi – przecież tam i aktorzy z teatru przychodzili. Tam się nauczyłam grać w ping-ponga. Tam na dole były takie kręte, żelazne schodki na dół, gdzie było takie pomieszczenie i gdzie stał stół ping-pongowy. I tam właśnie jeden z tych ludzi nauczył mnie grać w ping-ponga. Więc latałam tam na ping-ponga, a potem już nie na ping-ponga, tylko na, powiedzmy, jakieś też i alkoholowe spotkania. Pamiętam jak wódka była sprzedawana na jakieś takie małe kieliszki i nie wolno było wziąć butelki, ani karafki nie było. To pamiętam, mam przed oczyma taki widok, jak któryś z bywalców niesie całą tacę tych kieliszczków wódki do stołu, tam może była i butelka albo i więcej ale w kieliszkach. Ja tej butelki nie widziałam. Nikt nie widział. Poza tym ja tam też biegałam, żeby zjeść. Już do mamy na obiady nie chodziłam, bo różnie pracowałam. Czasem jak miałam program nocny to i o pierwszej w nocy wracałam do domu i jak ktoś do mnie zadzwonił z rodziny na przykład o ósmej rano to była awantura, dlaczego mnie budzą. Bo dopiero usnęłam. Więc chodziłam też na jedzenie, na różne kabarety, na różne wieczorki literackie. Tam poznałam Jonasza Koftę. Właśnie przez Kazika Grześkowiaka, przez Kazika Łojana. Tam to było życie! W zasadzie jakby ciąg dalszy naszego dziennikarskiego życia przenosił się do „Nory”. A już potem przy końcu, jak

jeszcze „Nora” istniała, ale już po stanie wojennym raz tam weszłam, zaprowadziłam mojego męża, żeby zobaczył [to miejsce] z moich opowieści. Był bardzo zdegustowany. Bo to też już nie była ta „Nora”. Bo tych ludzi też już nie było przede wszystkim. Po stanie wojennym to zaczęło już podupadać. To już nie był właściwie Klub Stowarzyszeń Twórczych, jak przedtem to się nazywało. To się stało taką bardziej knajpą. Zresztą dopiero później, przynajmniej ja sobie uświadomiłam, że tam wśród tych bywalców stałych bardzo dużo tajniaków było. Przecież trzeba było penetrować te środowiska artystyczne, no. Ale wcześniej ja przynajmniej sobie z tego nie zdawałam sprawy.

## 25. Klub Pod Strzechą

Dlaczego Pod Strzechą? To wiem od mojego taty. Przed wojną tutaj, w tym miejscu, gdzie była „Nora” był Klub Pod Strzechą. Tak się właśnie nazywał lokal, Klub Pod Strzechą. Tylko, jak mi tata opowiadał, to było tak, że szło się najpierw do Europy na eleganckie przyjęcie, bo przecież restauracja i hotel Europa była jeszcze przed wojną, a potem, na zasadzie dobawienia się, szło się do „Nory”, znaczy Pod Strzechę. Natomiast w moich czasach szło się do „Nory”, a na zasadzie dopicia szło się do Europy. Taka była różnica.

<b>Data i miejsce nagrania</b>	2016-05-23, Lublin
<b>Rozmawiał/a</b>	Joanna Majdanik
<b>Redakcja</b>	Agnieszka Piasecka
<b>Prawa</b>	Copyright © Ośrodek "Brama Grodzka - Teatr NN"